Nr. 13. Poznań, niedziela 29-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Od Redakcyi.

Przy końcu kwartału zwracamy się do Czytelników naszych z uprzejmą prośbą, aby raczyli pismo nasze w gronie znajomych swoich energicznie popierać i rozszerzać. Z wielkim mozolem i trudem zdobywamy jedne piędź ziemi po drugiej, kosztem niemałych wysiłków i poświęceń dokonujemy pracy budzenia i trzeźwienia we wszystkich dziedzinach życia narodowego — niezrażeni niczem torujemy drogę nowym prądom a opinia publiczna słucha z dniem każdym uważniej tych gwarów bojowych, zaczyna rozumieć kierunek, kochać nasz sztandar, wierzyć w hasła nasze. Praca nie poszła na marne, lecz droga nasza tak daleka i trudna, że tylko energiczne poparcie całego stronnictwa i niestrudzona agitacya w interesie „Przeglądu“ stanowi gwarancyę zwycięstwa. Prosimy zatem wszystkich przyjaciół naszych, aby od domu do domu nieśli to pismo, które nie spekulacya, lecz idea powołała do życia i które idei tej zawsze uczciwie służyło. Administracya na każde żądanie dostarczy bezpłatnie numerów okazowych, — niechaj każdy je rozszerza w gronie znajomych swoich i nie szczędzi słów zachęty, aby pomnożyć szeregi abonentów naszych. Praca taka nie jest reklamą lecz apostolstwem.

* * *

W najbliższym czasie rozpoczniemy druk interesującej nowelli Rawity p. t. „Dziki człowiek“. Nadmieniamy również, że w tece naszej spoczywają prace pierwszorzędnych autorów polskich.

Dogmat ugody.

Już w jednym z dawniejszych artykułów wyraziliśmy przekonanie, że polityka Koła polskiego w parlamencie niemieckim zdradza niedwuznacznie cechy fanatyzmu. Zapatrzone w zwodniczą gwiazdę ugody — hypnotyzowane złudną doktryną, zatraciło ono poczucie rzeczywistości i zmysł zdrowej logiki politycznej. Zawrócili z drogi umizgów lojalnych ci wszyscy, dla których ugoda była tylko rachunkiem prawdopodobieństwa, pozostało na niej Koło, dla którego stała się ślepą wiarą i dogmatem. Otrzeźwiało społeczeństwo, otrzeźwiała niemal cała prasa zaboru pruskiego, otrzeźwiały wreszcie najlojalniejsze dzienniki Galicyi, torujące niedawno jeszcze drogę własnej dyplomacyi na pruskim terenie, — jedno Koło polskie wierzy i wierzy bez końca. Rok po roku posłowie z próżnemi wracali rękami, rząd z twardą nieugiętością powtarzał swoje „Ausrotten“, minister Bosse drwił najwyraźniej z polskiej dyplomacyi, — tam jednak ugoda pozostała bóstwem i głosy polskie szły... na marynarkę.

Przewidywania nasze spełniły się. Na progu kadencyi mówiono wiele o postanowieniu Koła polskiego, by wstąpić na drogę odwrotu, a głosy te potęgowały się i rosły, skoro mowy ministra oświaty zagrały echem bolesnem w całym zaborze pruskim. I wonczas jednak nie łudziliśmy się żadną nadzieją, oceniliśmy trzeźwo naturę posłów — fanatyków i bez zastrzeżeń wyraziliśmy przekonanie, że hasło ugody mogło i musiało zbankrutować w społeczeństwie, lecz żywem pozostało w „Kole“.

Najświeższy objaw lojalizmu naszego w dziedzinie marynarki pruskiej różni się jednak poniekąd od dawniejszych w tym kierunku postanowień Koła i na różnicy tej starają się posłowie zbudować obronę przeciw zaniepokojonej w najwyższym stopniu opinii publicznej.

Postulaty finansowe rządu okazały się w roku bieżącym skromniejsze niż w latach poprzednich, nie obciążają nadmiernie budżetu i nie nakładają nowych ciężarów na ludność kresowych prowincyi. Na takim fundamencie opiera się obronny argument wysunięty przez Koło polskie dla ułagodzenia wyborców. Jest to apel do materyalnego egoizmu społeczeństwa, maskujący zręcznie zasadniczą stronę najświeższej akcyi ugodowej. Przy wszechstronnem rozpatrzeniu sprawy jednak ukazuje się druga strona medalu, a jądra kwestyi, znaczenia typowego, doniosłości głębszej i ogólniejszej tu właśnie szukać należy. Posłowie nasi oddając głosy swoje rządowi pod świeżem wrażeniem ciężkich uderzeń ministra Bossego, gdy na wyżyny rządu wstępuje w całym blasku Bismarck redivivus, a w murach parlamentu drzy jeszcze echo pruskiej szykany polskiej galanteryi, echo wyroku dyktującego narodowi zagładę, — posłowie nasi dowiedli, że dzisiaj mniej niż kiedykolwiek myślą o zniżeniu tonu ugodowego, że bezwzględną opozycyę Niegolewskich zamienili na bezwzględny lojalizm Kościelskich i lekceważą zupełnie moralne znaczenie polityki.

Kwestya podatkowego obciążenia prowincyi polskich posiada w najświeższej manifestacyi Koła znaczenie drugorzędne: społeczeństwo rozpatrywać ją powinno przedewszystkiem ze stanowiska politycznego i moralnego.

Jest ona w chwili obecnej jednym z najjaskrawszych objawów lojalizmu i zdradza wyraźniej niż kiedykolwiek, jak głębokie korzenie zapuścił fanatyzm ugodowy wśród posłów polskich, stawiając w miejsce praktycznej „polityki interesów“ fanatyczną „politykę dogmatów“, — jest ona wreszcie dla społeczeństwa rozsadnikiem zarazków moralnych, którym imię: pokora niewolników. Dyplomaci Koła polskiego lubią wykluczać z zakresu rozumu politycznego czynniki moralne, a jednak sił tych lekceważyć niewolno. Plemię Bismarcków

nie zagładzi ludu polskiego, dopóki żywem jest uczucie krzywdy i bunt nie usnął i protest, — lecz cóż się stanie z narodem, któremu wybrańcy jego dyktują stale i zasadniczo ukłon niewolniczy w zamian za najdotkliwszy policzek niemiecki. Mówiono wiele swojego czasu o potrzebie rozgraniczenia dyplomacyi Koła od polityki domowej, — teorya ta jednak opiera się na płytkim sofizmacie, bo zbudowanie muru chińskiego jest tu niemożliwem i wpływy berlińskie pozostaną zawsze siłą, oddziałującą w kierunku moralnym na szerokie koła społeczeństwa.

Nie mniej poważnym momentem najświeższej akcyi ugodowej jest bezwątpienia walka Koła polskiego z rzeszą wyborców, — walka, która rzuca ferment nowy w życie znękanego ludu i sprowadzić może burzę potężnych rozmiarów. Faktem jest niezaprzeczonym, że z wyjątkiem „Kuryera Poznańskiego“, podlegającego, jak wiadomo, watykańskim wpływom, cała prasa polska bez wyjątku rzuciła rękawicę wybrańcom narodu. Nawet „Dziennik Poznański“, dawny obrońca polityki ugodowej i przyboczny organ Koła polskiego, stanął z niezwykłą energią po stronie opozycyi i wystąpieniem swojem ośmielił mniejsze pisemka prowincyonalne, lękające się długo wyraźniejszego protestu. Sytuacya zatem jest następująca: Po jednej stronie Koło polskie i „Kuryer Poznański“, po drugiej cała prasa zaboru pruskiego wraz z olbrzymią większością wyborców. Jeżeli te przeciwieństwa zamienią się w walkę, jeżeli typowy brak energii, właściwy społeczeństwu naszemu, nie zdusi płomieni buntu szerzących się w każdym zakątku kraju, jeżeli w krytycznej chwili kilka błyskotek orderowych nie oślepi ambitnych kierowników opinii i tłumów krótkowidzących, jeżeli protest stanie się hasłem bojowem, wtedy o rezultatach nowych zapasów wyborczych nikt wątpić nie może. Wiemy, że społeczeństwo jest znękane, słabe i rozbite, — walki tej zatem nie pożądamy; ale gdyby fanatyzm Koła, podsycany niewątpliwie zewnętrzną suggestyą, nie miał dobrowolnie ustąpić przed siłą opinii, wtedy w imię dobra publicznego podejmiemy rzuconą rękawicę. Koło polskie musi być wyrazem narodu, — z tą dewizą na ustach społeczeństwo sprawi szyk bojowy.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Z o b o ż e n i e W i e l k o p o l s k i. „Przegląd Wszechpolski“ nawiązuje w ostatnim numerze dłuższe refleksye do artykułu feljetonisty naszego o upadku umysłowem Księstwa. (Na Wyłomie Nr. 10). Z refleksyi tych, podpisanych literami *„Ro – d*, a podyktowanych dokładną znajomością stosunków naszych i zdrowym zmysłem krytycznym, cytujemy ustęp następujący.

„Co do przyczyn ogólnych upadku życia umysłowego w Poznańskiem, to sądzę, że Sulla ma słuszność, ale nie wszystko powiedział.

Przedewszystkiem trzeba pamiętać o tem, że zabór pruski, jako najmniejszy z trzech szmatów rozdartej Polski, najmniej przedstawia warunków do rozwoju bujniejszego życia umysłowego, że jako taki, nie przyciąga do siebie sił wybitnych z innych dzielnic, ale, przeciwnie, skazany jest na to, że go inne prowincye polskie z własnych jego sił obdzierają. Jeżeli pod koniec pierwszej połowy bieżącego stulecia Księstwo przodowało w polskim ruchu umysłowym, to dlatego, że rozwijało i użytkowało w pełni swe siły, bo pozostałe dwie dzielnice, uginające się pod strasznym uciskiem skrajnie reakcyjnych rządów, znajdowały się w zastoju i sił Wielkopolsce nie odciągały. Ale już w drugiej połowie stulecia, gdy w Galicyi nastąpiła zasadnicza zmiana systemu rządzącego, gdy w Królestwie skończyły się ciężkie dla umysłowego życia czasy mikołajewskie, w obu tych dzielnicach widzimy sporo sił literackich i naukowych, pochodzących z Poznańskiego i Prus. Natomiast z tamtych dzielnic nic do Księstwa nie przybywa: nie ciągną ludzi ani warunki życia umysłowego, ani ekonomiczne, a w ostatnich czasach drakońskie prawa bismarkowskie, system wydalania powstrzymuje wprost mechanicznie dopływ sił z innych dzielnic.

Przyglądając się życiu umysłowemu Królestwa i Galicyi, widzimy, że w obu tych dzielnicach odbywa się pewna wymiana sił umysłowych. W Królestwie mamy wielu ludzi. pochodzących z Galicyi (i z zaboru pruskiego), pracujących na polu literackiem i dziennikarskiem, w Galicyi na wszystkich polach pracy spotykamy wybitne siły z za kordonu, z zaboru rosyjskiego (i z pruskiego również, choć znacznie mniej); ta wymiana sił korzystnie się odbija na życiu obu dzielnic, i z pewnością życie to wiele by zyskało, gdyby była ona większa. Tymczasem stara Wielkopolska płaci haracz ludzki obu innym dzielnicom, a nic w zamian nie bierze. Czyż to nie ważna przyczyna upadku życia umysłowego? Czyż ubytek sił z jednej strony, z drugiej zaś nieodświeżanie życia miejscowego nowemi pierwiastkami z innych dzielnic nie tłomaczy nam już ubóstwa w znacznej części?..,

Polityka powstrzymuje rozwój życia umysłowego, to fakt. Zmuszone walczyć na każdym kroku w obronie swej narodowości społeczeństwo polskie w zaborze pruskim musiało zebrać się w zwarte szeregi, nałożyć sobie surową dyscyplinę, dającą siły do walki, ale przygniatającą myśl i krępującą wszelki jej polot. Więcej atoli, niż samo trwanie walki, wpłynęły warunki, w których tę walkę trzeba było prowadzić.

Przeciw wrogowi potężnemu i wyćwiczonemu trzeba było wyprowadzić do walki armię surową, nie wyrobioną, nieuświadomioną nawet należycie pod względem narodowym, pierwsze kroki stawiającą w życiu politycznem masę ludu polskiego. Zadanie to było niezmiernie trudne, wymagało ogromnego skupienia sił. Wątpliwe byłoby powodzenie walki, gdyby z pomocą nie przyszedł tak potężny czynnik, jak religia, jak przywiązanie ludu do wiary, prześladowanej przez rozzuchwalonych orężnem powodzeniem Prusaków. Gdzie się nie zrodziła jeszcze świadomość narodowa, tam poczucie religijne zastępowało jej miejsce, zlewając się z nią często w nierozdzielną całość. Ztąd w życiu zaboru pruskiego kościół zajął więcej miejsca, niż gdzieindziej — za obronę narodowości społeczeństwo zapłaciło mu poddaniem się pod wpływ jego we wszystkich niemal dziedzinach życia umysłowego.

Życie umysłowe, opanowane przez kościół, musiało się całkiem inaczej ukształtować, niż gdzieindziej, nie mogło się w wysokim stopniu zasilać owo-

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem w bawialni przesiadywał Dyniecki codziennie dobrą chwilę samotnie. Lola była chorą, a pani Marcysia gniewała się na zabój. Zostawała tylko Anulka. Ją też wysyłała Borajska do bawienia gościa.

Pierwszego dnia zniecierpliwiła pięknego panicza rozmowa z podlotkiem, który trzymał się sztywnie na uboczu i odpowiadał na zadawane pytania monosylabami, co pochodziło ztąd, że Anulka gniewała się również na niego, nie mogąc mu przebaczyć, że wmięszał się między brata a Lolę.

Anulka jednak była pięknym podlotkiem, któremu wiele się przebacza. To też Dyniecki nietylko, że nie zraził się dąsem dziewczęcia, lecz przeciwnie uznał, że Anulka zdolną jest żywsze wzbudzić w nim zajęcie. Już dawniej nieraz przyglądał się pensyonarce okiem smakosza i doznawał przyjemnych wrażeń. Na prawym policzku śniadej twarzyczki Anieli, po której błąkał się niekiedy brzask rumieńca, zauważył on obok zgrabnego noska pod czarnem, dużem okiem, nieznaczny pieprzyk, niby natrętną muszkę, co usiadłszy raz na twarzy, przyległa do niej łapkami i odlecieć nie może. Świeże, niezmącone troską oblicze, niepokalane namiętnością, owiane puszkiem, jak świeża brzoskwinia, dopraszało się nieprzeparta siłą, czarem pierwszej młodości, aby pocałunkiem spędzić zeń czarnego owada.

— Zabić ją trzeba, tę natrętną muchę — powiadał sobie Dyniecki w duchu, wpatrując się co dnia uporczywiej w twarz dziewczyny. — Po co takie ładne stworzenie ma więdnąć bezczynnie. Jabłko jest poto na drzewie, aby je zerwać i zjeść, inaczej zgnije i upadnie nieużyte na ziemię; ładna dziewczyna tak samo. Grzech bym miał nie do darowania, gdybym nie zabił tej przeklętej muchy pod okiem. Zabić ją zatem, zabić.

Piękny młodzian był cynikiem nietylko w męzkiem towarzystwie dla fanfaronady, dla imponowania otoczeniu odrębnością zapatrywań, ale także cynikiem w swych najskrytszych myślach. Cynizm tkwił w nim samym, jak ziarnko orzecha w łupinie. Zdaje się, że pieszcząc się lubieżną myślą, zanurzoną w cynicznej przyprawie, doznawał nie mniej miłego uczucia jak wówczas, gdy cyniczną myśl w czyn przemieniał. Doprowadził on w tym względzie do wyrafinowania. Przeszedł miarę i był niepoczytalnym.

Rozmawiając codziennie dość długo z Anulką, mimowolnie porównywał ją z Lolą, dla której głównie odwiedzał Borajskich.

Tamta była już jego niewolnicą, jedną z owych stu, co przemknęły przed jego oczyma i poszły w krainę nirwany, wiecznego zapomnienia, tamta więc zaliczoną być mogła do rzędu zjawisk codziennych, które swą szarą pospolitością budzą przesyt i ziewanie, ta, to pączek nietknięty dotąd, a więc zjawisko bądź co bądź nowe, po które dla zasady rękę należy wyciągnąć.

A przytem, porównywając obie bezstronnie, zauważył młody Don Juan, że Anulka niezwykłym powabem rysów górowała nad panną Borajską, a odpornem swem zachowaniem się zachęcając do zabiegów, czyniła tem ponętniejszem przewidywane zwycięstwo.

— Zabić ją, tę muchę niegodziwą — szepce mu w duchu władca jego nerwów — zabić długim, namiętnym pocałunkiem.

I Lola przechodziła tę samą drogę. Było to w dniu przedstawienia amatorskiego, kiedy nim gardziła. Wszelako później uległa, ukorzyła się i wstąpiła w szereg niewolnic, a więc tem samem pozbawiła się dobrowolnie uroku....

Tymczasem Anulka czaruje nowością — i to jej zaleta i w tem jej wyższość nad tamtą.

Dyniecki był mistrzem ułudnych słówek, dzięki którym umiał dojść zawsze do celu. Zrazu obojętną, lecz pełną przyjacielskości i żywego dowcipu rozmową, oswajał i przywabiał ku sobie, choćby najdzikszą i nieśmiałą ofiarę. Mówiąc o tem i owem, wychwalał sam siebie, podnosił zgrabnie swe zalety, starał się, aby przedmiot zabiegów oglądał go w jak najlepszem oświetleniu, słowem odurzał, hypnotyzował. Następnie pukać zaczynał do serduszka: zrazu leciuchno, niby

cami nowszej pracy myślowej całego społeczeństwa polskiego, bo ta praca odbywała się i odbywa przeważnie po za sferą kościoła. To wyosobnienie się musiało w znacznej mierze wpłynąć na zakrzepnięcie umysłowości Księstwa, zbyt mała to bowiem prowincya, ażeby mogła sobie własnemi siłami odrębny typ życia wytworzyć, a zresztą kościół wszędzie broni umysłów przeciw nowatorstwu.

Walka narodowa w zaborze pruskim idzie w parze z walką ekonomiczną. Niemcy pomieszani z ludnością polską stanowią dla niej groźnego współzawodnika na polu ekonomicznem. W tego rodzaju współzawodnictwie, gdy nabiera ono wielkiego napięcia, rozwija się nadmiernie materyalizm życiowy, brutalna interesowność, sprowadzająca wszystko do zysku, obliczająca wszystko na pieniądze. Podobny nastrój nie sprzyja też wyższemu rozwojowi życia umysłowego.

Najwięcej może przyczynia się do zabicia umysłowości rutyna polityczna, wytworzona w walce z żywiołem niemieckim. W Prusakach narodowość nasza posiada przeciwnika, znakomicie wytresowanego do walki legalnej, walki na paragrafy, w której myśmy nigdy biegli nie byli, przeciwnie, zawsześmy za mało mieli i dziś mamy mało rozumienia prawa i umiejętności użytkowania z niego. Polacy w zaborze pruskim, nie chcąc uledz przeciwnikowi, musieli się do warunków przystosować, do nowego rodzaju walki zaprawić, nauczyć się prawem manewrować i prawo wyzyskiwać. W krótkim czasie postąpili oni pod tym względem wiele i przewyższają w tem ogromnie rodaków z innych dzielnic, ale praca, którą musieli wykonać, by zdobyć nową umiejętność, zrutynowała ich umysłowość, nadała jej pewną manierę, wytworzyła jednostronność, szkodliwą niezmiernie w życiu umysłowem.

Dziwna rzecz, iż przy ocenianiu życia umysłowego w zaborze pruskim nikt nie zwraca uwagi na warunki, w których się wychowuje oświecona warstwa tamtejszego społeczeństwa. Gdybyśmy wzięli pod uwagę, że skutkiem systematycznego usuwania od działalności wychowawczej naszych sił nauczycielskich, dzisiejsze pokolenia inteligencyi poznańskiej zostały wychowane przez Prusaków, że otrzymały one pruską kulturę umysłową, że wpływowi tej kultury w uznaniu jej wyższości poddało się całe społeczeństwo poznańskie, moglibyśmy zrozumieć wiele rzeczy, które dziś nam zrozumieć trudno. Kultura pruska tak się sprzeciwia naszemu charakterowi narodowemu, że wpływ jej pod względem umysłowym musi się odbijać niekorzystnie.

Pruska kultura moralna i umysłowa jest czemś, czego nigdzieindziej na całym świecie nie spotykamy. Nie jest to rezultat kilkunastowiekowego dojrzewania cywilizacyjnego, który spotykamy u Anglików, Francuzów lub południowych Niemców, — Prusacy bowiem nie są tak starą arystokracyą śród narodów — jest to owoc militarnej tresury Eritzów, która się przyjęła znakomicie na gruncie wysokiej kultury technicznej i trzeźwej praktyczności, właściwej młodym społeczeństwom kolonistów. Prusacy — to naród-armia, każdy z nich jest ex-feldfeble.

Kultura Prusaków nie jest to w istocie rzeczy kultura ogólno-niemiecka, ale w znacznej części specyalny wytwór tego młodego społeczeństwa i państwa, które wyrosło w dawnych siedzibach słowiańskich. My, którzy stykamy się bezpośrednio tylko z tymi wschodnimi przedstawicielami germańskiej cywilizacyi, przywykliśmy sądzić po nich całe Niemcy i, patrząc na dumnego *„Kulturmensch'a“* w Poznańskiem, Prusiech Zachodnich lub na Szląsku, ani się domyślamy, że tem gdzieś w Harzu spotkać można chłopów prawie dzikich, którzy przed obcym człowiekiem uciekają stadami, na podobieństwo obywateli szlachetnej nacyi Papua.

Prusacy, jak wogóle wszyscy dorobkiewicze, ogromnie kolą ludziom oczy swą kulturą, noszą wysoko jej sztandar, my zaś, jako naród znany ze swej skromności, ustępując im w kulturze technicznej, w wyćwiczeniu politycznem, gotowiśmy wierzyć, że pod każdym względem nas przewyższają, i naśladować ich nawet w tem, w czem są gorsi od nas Tak się też dzieje. Młodsze pokolenia inteligencyi poznańskiej pod wpływem pruskiej kultury przejmują pruskie zalety, ale razem z niemi pruskie głupstwa i śmiesznostki, pruską pospolitość i trywialność umysłową. Można dziś w Poznańskiem spotkać przykłady rażącej różnicy między dwoma pokoleniami, w rodzaju tego, jaki sam widziałem: ojciec, człowiek humanitarny, oświecony po europejsku polski szlachcic, względnie wolnomyślny, demokrata z 48 roku; syn zaś — junker w pruskim stylu, płaski materyalista w praktyce, po za tem zaś nie umiejący się wznieść nad próżność kastową, noszący się ze swem szlachectwem tak jak to tylko Niemiec umie.

Otóż, zdaje mi się, że pruska kultura szkodliwie wpływa na umysłowość polską, że pruskie wychowanie, nie zastosowane do naszego ducha narodowego, nie uwzględniające potrzeb i upodobań naszej rasy, zabija wyższe zdolności w młodzieży naszej. My jesteśmy rasą bardzo zdolną — przyznają nam to nawet Prusacy — ale właśnie dla tego wstrętny nam jest ów duch rutyny, wnoszony wszędzie przez Prusaków: zbawienny dla tęgich, ale nieskomplikowanych ich mózgów, na nasze działa on zabójczo. Zresztą, w sprawie tej nie myślę dochodzić do zbyt określonych wniosków. W rzeczach tak złożonych trzeba wyrokować bardzo ostrożnie.

Nie sądzę, żeby tem, com wyżej powiedział, wyczerpane już były przyczyny upadku życia umysłowego w Księstwie. Jest ich znacznie więcej. Dość wskazać na fakt, że w dzielnicy tej żywioł, który dawniej podtrzymywał ruch umysłowy, mianowicie szlachta, stopniowo upada, wydziedziczana jest z ziemi, że na pierwszy plan wysuwają się tu warstwy ludowe, które skuteczniej walczyć będą w obronie narodowości, ale nie wytworzą wyższego życia umysłowego. Nie należy też i o tem zapominać, że do najważniejszych przyczyn upadku polskiego życia umysłowego należy ogromne rozpowszechnienie się obcych pism i książek śród naszych ludzi wykształconych, którzy na zachodnich kresach częstokroć więcej żyją strawą umysłową niemiecką, niż polską.

Ro—d.

* * *

N o w e p i s m o. Księża - germanizatorzy na Górnym Śląszku założyli nową gazetę w Królewskiej Hucie i rozwinęli w interesie tego pisma krzykliwą agitacyę. Sprawie tej poświęca „Katolik“ w Nr. 34. uwagi następujące:

W przeszłą niedzielę zapowiedzieli niektórzy księża z ambon, jako nowa gazeta polska w Król. Hucie zacznie wychodzić i zalecili ją parafianom. Przeciwko temu nie mówi „Katolik“ ani słowa, albowiem każdemu wolno polecać gazetę, jaką chce, To sprawa osobistego zapatrywania.

Inaczej ma się jednak rzecz z takimi księżmi, którzy przy tej okazyi przeciwko „Katolikowi“ ostre a wielce niesłuszne podnieśli zarzuty. Radakcya nasza odebrała wiadomości o tem, gdzie co powiedziano, a przyjaciele „Katolika“ żądają ogłoszenia w naszem piśmie ostrych odpowiedzi na te ostre zaczepki.

Bezwzględność, z jaką niektórzy księża, nie czytający wcale „Katolika“, pozwolili sobie z ambony szarpać sławę i ujmować czci „Katolikowi“ i jego redaktorom była tak wielka, iż musi nadzwyczajnie drażnić redakcyą i przyjaciół „Katolika“. Na dziś odzywamy się spokojnie do owych księży tak: „Gdy-

---

żartem, z tą rezerwą, która w każdej chwili dozwala wycofać się bez szwanku z potyczki zaczepnej, następnie coraz silniej, coraz natarczywiej, aż naraz, gdy zauważył, że opór słabnie, porywał kobietę w ramiona i bez ceremonii — zabijał muchę.

Podobne postępowanie postanowił zastosować względem siostry Franciszka Smolarza. Decyzya nastąpiła nagle i poniekąd przypadkowo, jak to zwykle u niego bywało, a więc podczas drugiej wizyty u Borajskich, po dłuższej rozmowie z Anulką, wśród której udało mu się nietylko rozbroić jej gniew, lecz wywołać uśmiech na usta dziewczęcia i usposobić przyjaźnie ku sobie. Cóż łatwiejszego niż zawrócić głowę takiemu nieświadomemu pędrakowi, biorącemu każde słowo za ewangieliczną prawdę, każdy uśmiech za szczerość, a każdą krokodylą łzę za głęboką pokutę. Dyniecki kłamał, śmiał się i płakał, ona — ona wierzyła wszystkiemu. Zaczął od tego, że w szczerych słowach wyraził głęboki żal, iż sprawił przykrość Franciszkowi. To Anulkę ułagodziło. Dorzucił następnie, że z przyjaźni dla Franciszka, skłonny nawet byłby zaniechać swych zamiarów, gdyby się tylko Lola zgodziła. To oświadczenie podbiło Anulkę do reszty. Dodał wreszcie czwartego dnia, wśród szeregu innych pięknie brzmiących zdań, że wobec praw ludzkich i Boskich, za każdą poniesioną ofiarę, należy się ludziom nagroda: on skłonny jest do ofiar, a nagroda spoczywa w jej rękach. Nie bardzo zrozumiała Anulka powyższą przenośnię, lecz życząc już dobrze Dynieckiemu, przyznawała w duchu, że przytoczone przez niego prawa Boskie i ludzkie są zupełnie słuszne i sprawiedliwe.

II.

Szczególnym trafem, pani Marcysia Borajska, nie odznaczająca się ani bystrzejszym umysłem, ani bogactwem i wrażliwością uczuć, po zabawie w „Gwieździe“ przejrzała pięknego Parysa, jak to mówią, na wylot, i sformułowała sobie o nim bardzo trafne zdanie. A że mściwą była z natury, i to mściwością ograniczonej kobiety, która dla błahostki, jakiejś nieznacznej urazy zdolną jest bić, kąsać, potwarzać, niszczyć i palić, więc uznawszy w duchu, że Dyniecki obraził ją śmiertelnie, postanowiła zemścić się. Środki, jakimi dochodziła do celu, były jej zupełnie obojętne. Nad następstwami nie zastanawiała się wiele. Chciała raz przynajmniej spojrzeć Dynieckiemu w oczy i powiedzieć z tryumfem:

— A widzisz!... oto masz!...

Co z tego dalej wyniknie — o tem pani Borajska wcale nie myślała.

Dawną nienawiść ku Loli rozdzieliła teraz na dwie osoby, tj. na Lolę i na Dynieckiego. Jeżeliby więc złożyły się okoliczności w ten sposób, żeby można ich było zgnieść oboje za jednym zachodem — to tem ci lepiej.

A właśnie teraz znakomita nadarzała się po temu sposobność. Anulka i Dyniecki, zajęci rozmową w bawialni, nie zauważyli, że za drzwiami przedpokoju, a niekiedy sypialni, cień jakiś czuwa nad nimi.

Pani Borajska była tym cieniem, który w różnych chwilach różne przybierał kontury: to się zniżał do dziurki od klucza, to się podnosił do szpary w górnej części drzwi, przez którą dochodziły najlepiej głosy z bawialni, to kiedyindziej, widocznie czuwaniem zmęczony, przysiadał na ziemi i wypoczywał. Ale ostatecznie zadziwiająco był wytrwałym, nie opuszczając stanowiska ani na chwilę.

III.

W sali ratuszowej jasno jak w biały dzień.

Pan burmistrz odstąpił tę salę na obrady komitetu, zawiązanego w celu utworzenia kasy zaliczkowej.

Około dwudziestu, zaproszonych na posiedzenie „sąsiadów“, obsiadło przednie ławki, naprzeciw Borajskiego, który przewodniczy. Szołomiejski, obrany sprawozdawcą, przechadza się niecierpliwie i wyciera okulary chustką. Bez szkieł, oczy jego obolałe, wypukłe, spoglądają baranim wejrzeniem po obecnych. Jest także opodal czerwony Ranicki w towarzystwie przyjaciela Klepki.

Borajski zajmuje miejsce w wyplatanym fotelu i dzwoni.

— Proszę siadać. Panie Szeląg, zapraszam pana na sekretarza.

Szeląg siada obok przy stole.

— A teraz — ciągnie dalej przewodniczący — otwieram posiedzenie.

byście wiedzieli, co ludzie myślą i mówią o tej hecy, urządzanej przeciwko „Katolikowi", tobyście poznali, że nie „Katolik" księżom, ale sami tacy księża sobie szkodzą, zaufanie u ludzi tracą i wiarę św. na szwank narażają".

Dla dobra wiary św. przedewszystkiem, a także dla innych przyczyn, ostrzega „Katolik" księży, którzy w ten sposób przeciwko niemu występują, aby hamowali w bezwzględności i w wojowniczem uniesieniunie, zapomnieli o granicach dla agitacyi i walki, które nam wszystkim, nietylko „Katolikowi", ale też szczególnie księżom, sumienie katolickie zachować nakazuje. Otwarcie powiadamy, że podług dotychczasowych doświadczeń, taki rodzaj bezwzględnej walki nigdy „Katolikowi", ale zawsze księżom u ludu zaszkodził. Przeciwników więc naszych prosimy, aby pamiętali o radzie: Quidquid agis, prudenter agas et respice finem. (Cokolwiek czynisz, czyń mądrze, a pamiętaj o końcu),

— *ski.*

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy" p. Koźmiana)[1].

I.

Narodziny Stańczyków.

Przypatrzmy się naprzód narodzinom „szkoły stańczykowskiej", której celem miało być usunięcie idei niepodległości (ciekawa rzecz, coby na to określenie powiedzieli śp. L. Wodzicki i Szujski!). P. Koźmian, w swojem dziele przyznaje się do roli akuszera przy tym porodzie i tak go opisuje: „Na wiosnę 1866 Stanisław Tarnowski wyszedłszy z więzienia, spotkał na rynku krakowskim piszącego tę rzecz. „Cóż poczniemy, cóż robić będziemy?" zapytał. „Wydawać będziemy pismo polityczne". „Dobrze, ale jakto my dwaj?" „I Szujski". „Szujski? Ale przecież on nie zupełnie takie jak my ma przekonania i zapatrywania?" „O, Szujski zupełnie się odmienił". — Obaj poszli do Szujskiego; pozyskali współudział Ludwika Wodzickiego i 1 lipca 1866 wyszedł zeszyt „Przeglądu polskiego". Pierwszą formą wystąpienia szkoły wojującej była Teka Stańczyka".

Anegdotka ta rozbraja swą naiwnością. Przyjaciel spotkał przyjaciela na rynku, po wypuszczeniu go z więzienia, i zamiast przywitać się serdecznie, pomówić z sobą jak rozmawiają po długiem niewidzeniu się (i to jeszcze wśród takich okoliczności) wszyscy ludzie, choćby „największych serc i największych umysłów" — zaraz na rynku, jeden drugiego pyta: co poczniemy? a drugi: będziemy wydawali pismo polityczne. Nawet na scenie w wesołej komedyi taki dyalog nie uchodziłby, bo brak w nim byłoby cienia naturalności. Co więcej, gdyby te słowa: „będziemy wydawali pismo" wyszły z ust p. Tarnowskiego, byłyby wprawdzie śmieszne, ale miałyby w sobie odrobinę sensu, bo „Przegląd Polski", (o którym tu mowa), wydawał potem rzeczywiście p. Tarnowski za swoje pieniądze, ale nie mógł powiedzieć tych słów p. Koźmian dla tej prostej przyczyny, że nie miałby za co wydawać pisma. I poszli zaraz do Szujskiego (tak im było pilno) i pozyskali Wodzickiego i musieli zapewne lecieć natychmiast do drukarni, ugodzić się o cenę, zaraz potem kupić papier i atrament, siadać na gwałt i pisać, bo stało się to na wiosnę, (a więc w maju, bo w kwietniu jeszcze u nas się o wiośnie nie mówi) a już na 1-go lipca wyszedł pierwszy numer „Przeglądu Polskiego", na którego zebranie, napisanie i wydrukowanie potrzeba było przecież z półtora miesiąca czasu! Ale jak się rwać do czynu, to się rwać! Co ciekawe to to, że artykuł wstępny napisał nie p. Koźmian, lecz Floryan Ziemiałkawski, ów czerwony, demokratyczny Ziemiałkowski — gdzie więc było owo późniejsze stańczykostwo i gdzie się podział p. Koźmian, który mówił „będziemy wydawali pismo". Czemuż ten mąż, ten inicyator, ten wnioskodawca nie wystąpił z artykułem kierującym. I zaraz, ledwie pismo zaczęli wydawać, rozpoczęli wojować, a „pierwszą formą szkoły wojującej była Teka Stańczyka".

Wszystko to się nie zgadza z prawdą i faktami. Naprzód ów zabawny dyalog gdyby istniał, nie istniałby na wiosnę roku 1866, bo p. Stanisław Tarnowski wyszedł z więzienia we wrześniu 1865 na skutek osobnego wraz z kilku towarzyszami uzyskanego ułaskawienia[2]), a więc nie natychmiast po jego wyjściu stanął „Przegląd Polski" na rynku krakowskim. Czy inicyatorem tego pisma był p. Stanisław Koźmian, wiedzieć nie możemy, mógłby o tem coś powiedzieć tylko p. Stanisław Tarnowski, gdyby dobrze pamiętał, o czem przed trzydziestu laty na rynku się mówiło, a gdyby pamiętał rzecz inaczej, trudno byłoby od niego wymagać aby zaprzeczył drukowanemu słowu swego przyjaciela. Fakt ten więc nie będzie zbadany, (smuć się historyo!) lubo wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, iż pomysł wydawania „Przeglądu", wyszedł od p. Tarnowskiego. Był on jak na nasze stosunki człowiekiem wcale zamożnym i rwał się do pióra, a ludzie tego rodzaju chcą mieć swój organ własny. Jest na to jeszcze i inny dowód, czysto logiczny. Kto daje inicyatywę do założenia pisma i to politycznego, ten od razu w niem występuje, tymczasem kiedy w pierwszym numerze „Przeglądu" jest już artykuł o sejmie pióra p. Tarnowskiego, to ani w pierwszym, ani w drugim zeszycie nie ma ani jednego wyrazu napisanego przez p. Koźmiana, tego inicyatora, który miał już w głowie program zbawienia Polski przez swą politykę wyrzeczenia się zgubnej idei narodowości. Przegląd polityczny napisał do pierwszego zeszytu Ludwik Wodzicki, do drugiego Stanisław Tarnowski. Samo uproszenie wreszcie Florjana Ziemiałkowskiego, aby napisał programowy artykuł wstępny, dowodzi, że szanowne grono krakowskie nie miało żadnego programu, że rozpoczęło wydawnictwo miesięcznika więcej w celach literackich i dla rozbioru spraw społecznych (czego dowodzi przeważna część artykułów tej treści w pierwszych rocznikach „Przeglądu"), aniżeli dla celów politycznych. Ale ponieważ nie wykluczali i polityki ze swego programu, a sami nie czuli się jeszcze kompetentni do jej „robienia",

[1]) Drugi tom dzieła K. Bartoszewicza wyjdzie z druku w przyszłym miesiącu.

[2]) Stronnictwo krakowskie. Lwów, 1895, str. 216.

Wszystko dotąd odbywa się zupełnie prawidłowo. W ten sam sposób otwiera burmistrz posiedzenia rady, więc też forma nie jest zgromadzonym obcą. Przyjmują ją zatem z godnością i spokojem. Nawet poczciwy Klepka, wbrew przyzwyczajeniu, nie dopatrzył ani nie dosłyszał nic takiego, coby wywołało uśmiech na jego księżycowej twarzy.

— Wiecie panowie mniej więcej o co nam chodzi — zagaja Borajski — nie potrzebuję zatem długo się rozwodzić. Pan Szołomiejski jest tym, kóry myśl założenia kasy podniósł, więc on rozpowie nam o niej i przeczyta statuty. Proszę panów nadewszystko o spokój. Szczególnie pana Ranieckiego o to proszę.

Raniecki poruszył się niespokojnie na krześle. Klepka z przyzwyczajenia odskoczył nieco na bok.

— A cóż to, czy ja przekupka, czy co? — pyta Raniecki wyzywająco.

— No, nic, nic — przeprasza go Borajski i uspakaja ruchem ręki.

Szołomiejski włożył już w tym czasie okulary na koniec nosa, wydobył papiery i z wielką powagą wstępuje na podniesienie.

— Moi panowie! — rozpoczyna basem.

Raniecki zapomniał w tej samej sekundzie o napomnieniu i powlókłszy wzrokiem po wielkim filozofie:

— Uf!... — mruczy zniecierpliwiony, zwracając się ku Klepce. — Jak on tylko nasadzi swoje szyby na nos a zahuczy niby organista, to mię zaraz całego trzęsie.

Klepka uśmiecha się i spogląda rzewnie na przyjaciela.

Szołomiejski chrząka.

— Moi panowie!...

— Dosyć tych panów, dosyć.

— Proszę nie przeszkadzać — chrząka ponownie. — Moi panowie!... Czyż potrzebuję wskazywać na piękny, wzniosły i szlachetny cel, jaki mieć może przemysłowo-rękodzielnicze towarzystwo pożyczkowe z ograniczoną poręką?... Czy potrzebuję udowadniać, moi panowie....

Raniecki:

— Wcale nie potrzeba. Niech pan sobie tymczasem odpocznie.

Borajski psyka — Klepka zaczyna huczec, ale nieznacznie, gdyż nie rozruszał się jeszcze na dobre.

Szołomiejski poczekawszy chwilę cierpliwie, ciągnie dalej:

— Czyż potrzebuję udowadniać, moi panowie, że tam, gdzie jest kapitał, tam jest siła, a gdzie jest siła, tam zwycięztwo. Czyż potrzebuję dalej przypominać wam, moi panowie, że dobrobyt kwitnie tam, gdzie jest siła i zwycięztwo?.... Nie, moi panowie, tego, zdaje się, nie potrzebuję wam przypominać.

Raniecki:

— No, a ja co powiedział? Nie mówiłem, że nie potrzeba? — zwracając się do Klepki — Klepka, prawda, że mówiłem to samo co on, ale znacznie wcześniej i daleko króciej.

Klepka przytakuje na znak, że Raniecki ma słuszność.

Szołomiejski, wyczekawszy, aż się Raniecki uspokoił:

— Pozwólcie jednak, moi panowie, że nim przystąpię do szczegółów, przypomnę wam ową bajkę o umierającym ojcu i trzech synach....

Raniecki porywczo:

— Bardzo proszę! My tu nie przyszli na żadne bajki, ale na poważne rzeczy. Bajki opowiada się dzieciom w domu.... za piecem.

Szołomiejski niecierpliwie:

— Proszę nie przeszkadzać!

Borajski dzwoni i przyzywa Ranieckiego do porządku.

Szołomiejski po krótkiej przerwie:

— Otóż, ów ojciec, będąc na śmiertelnej pościeli, zawołał trzech synów przed siebie i polecił im, aby każdy, wyciąwszy pręt łoziny w ogrodzie, przyniósł go do domu. A gdy się to stało, wówczas mądry ojciec....

Raniecki wpadając w słowo:

— Wówczas mądry ojciec wysmarował owym prętem każdego z synów dobrze po bokach.

(Ciąg dalszy nastąpi.

uprosili przeto Ziemiałkowskiego, człowieka „ruchu“, członka organizacyi powstania, świeżo wypuszczonego z więzienia, do którego na trzy lata za udział w r. 1863 był skazany, aby jako w polityce *peritus* i zajmujący już wybitne stanowisko polityczne, wyręczył ich w nadaniu barwy politycznej „Przeglądowi“. I cóż w tym programie napisał Ziemiałkowski? Nie będę go streszczał szczegółowo, ale wskażę na parę ustępów, które będą dostateczne do zrozumienia: czy program Ziemiałkowskiego mógł się godzić w czemkolwiek z późniejszem stańczykostwem p. Koźmiana i spółki. Przedewszystkiem kładł Ziemiałkowski nacisk, że w polityce powinno istnieć prawo i sprawiedliwość, a nie interes i siła. Dalej wychwala Ziemiałkowski wolność jako ostateczny cel człowieka, jako ideał w przeciwstawieniu do „rządów ojcowskich“. Następuje nadzwyczaj ważne wobec tendencyi p. Koźmiana zaznaczenie, że „w r. 1865 zaczeliśmy się garnąć z całą ufnością ku Koronie i że odtąd kraj daje monarsze niewymuszone dowody szczerej lojalności“, a więc świadek naoczny stwierdza w pierwszym numerze organu stańczyków, iż na drogę lojalności weszła Galicya już wtedy, kiedy jeszcze o „Przeglądzie“ nikt nie myślał, a o byłym pomocniku telegrafisty krakowskiego biura Rządu narodowego nikt jeszcze nie słyszał. Przechodząc do spraw ukształtowania się Austryi, Ziemiałkowski żąda, aby państwo pod względem zarządu podzielone było na trzy części: na Węgry, Galicyę i kraje niemiecko-słowiańskie, — żąda osobnego rządu parlamentarnego dla krajów polskich i zupełnej we wszystkiem autonomii. Mówiąc o walkach za niepodległość, Ziemiałkowski z naciskiem dwukrotnie pisze, że nie można mówić o „n i e u d a n y c h przedsięwzięciach narodowych“, bo każde z nich ma swoją zasługę i swoje znaczenie. Artykuł kończy się wezwaniem szlachty i sfer inteligentnych do zajęcia się pracą koło podniesienia ludu, bo w nim leży siła narodu. Pod artykułem tym, nadającym kierunek „Przeglądowi“, mógłby się dziś podpisać każdy uważany przez Stańczyków za „czerwonego“, nawet p. Rewakowicz i Lewakowski.

I gdzie p. Koźmian znajdzie w tym artykule jakikolwiek ślad stańczykowstwa? Znajdzie tylko stwierdzenie, że kraj wszedł już na drogę kompromisu z rządem austryackim, garnął się ku koronie już wtedy, kiedy o jednym stańczyku dopiero wiedziano, o Stańczyku błaźnie Zygmunta Augusta, żyjącym przed trzystu laty.

W tym pierwszym zeszycie Przeglądu znajduje się artykuł o sejmie p. Stanisława Tarnowskiego. Dla ciekawości, dla okazania czem, byli wówczas i co myśleli przyszli stańczycy, przytoczę tylko zapatrywania p. Tarnowskiego na obowiązującą ustawę wyborczą. Ordynacya wyborcza bardzo mu się nie podobała z powodu podziału na kurye. Pisał z ubolewaniem o wyróżnianiu przez ustawę interesu posiadłości większej, dowodził, że „wybory kuryalne są na to, aby szlachtę utwierdzić w nałogu, że jest jakąś całością odrębną“. Konieczną jest zmiana ordynacyi wyborczej, pisał p. Tarnowski, a przy sposobności miał i słowa pochwały dla posłów polskich ze stanu włościańskiego za ich przyzwoite a nawet w wielu razach pożyteczne zachowanie się w sejmie. Żartował też sobie z tych, co wolą jakąś koteryę panów i drwił z półpanków „braminów zafarbowanych niemiłym kolorem“, o których milczy Paprocki. Czyżby tytuł dawał prawo do nazywania się panem, żartował dalej p. Tarnowski, ale cóż znaczą tytuły? „alež są baronowie, hrabiowie, a nawet książęta, których nikt nie ma za panów!“ Powstanie roku 1863 nazywał tylko „przedwczesnem“, pisał o niekłamanej życzliwości Galicyi dla rządu austryackiego w r. 1865, o „szczerem pragnieniu z jej strony przyjaźni i zgody“.

Przypatrzmy się również temu, co Szujski pisał w pierwszych zeszytach Przeglądu. Mamy naprzód jego recenzye literackie, a między innemi sprawozdanie z powieści Bolesławity (Kraszewskiego) „Żyd“. Ponieważ powieść ta osnuta była na tle wypadków warszawskich, przeto musiał Szujski o nie potrącić, a czyniąc to, zaznaczył, iż „dalecy jesteśmy od ładowania na ludzi małoletnich całego ciężaru odpowiedzialności, która s ł u s z n i e j n a s t a r s z y c h s p a ś ć p o w i n n a“. Później Przegląd pomieścił rozprawę Szujskiego: Stanisław Staszyc jako pisarz polityczny“. Ku końcowi tej rozprawy czytamy następujące zapatrywania Szujskiego: „Od czasu zjawienia się Staszyca (są słowa Szujskiego) i Sejmu czteroletniego, demokratyczna idea odniosła w Polsce stanowcze zwycięstwo. Każdy opór jej ruchowi, każde zapóźne jej uznanie i przyjęcie, okupił naród klęskami, a korzyściami na rzecz nieprzyjaciół“. Później wspomina Szujski, że w czasie porozbiorowym wyrobił się w naszem społeczeństwie przymiot posłuszeństwa dla władzy, a jako przykład podaje „wzorowy posłuch“ dyktaturze 1831 r. i tajnemu rządowi narodowemu w r. 1863. „Władze te miały sympatye i instyktowny posłuch ogółu, pochodzący z przekonania o zgubnych środkach niezgody i rozbicia“. Zastanawia się także Szujski nad sprawą ludową i sądzi, że chcąc lud zrobić obywatelem są ku temu dwie drogi: karność i wolnomyślność — „ta druga (wolnomyślność) odrzucając politykę bojaźliwego konserwatyzmu i prohibicyi, rozszerzy obóz narodowy“. Wreszcie podkreśla Szujski znaczenie silnej i welnomyślnej opinii, której przyznaje „monarchiczną powagę“.*)

Dla scharakteryzowania jeszcze ówczesnego „Przeglądu polskiego“ nie zawadzi dodać, iż współpracownikami jego byli: Gołemberski, Kraszewski (jako Bolesławita), Gordon, Bełcikowski, Sawczyński, Władysław Łoziński itd., więc albo czerwoni, ludzie ruchu, albo umiarkowani postępowcy. Pan Koźmian występuje dopiero w zeszycie trzecim, a pisząc Przegląd polityczny, poświęcony głównie następstwom wojny austryacko-włosko-pruskiej, zaznacza we wstępie, iż Przegląd mający tylko „uzupełniać tyle zasłużone krajowe dziennikarstwo“ w polityce trzymać się będzie zdala od skrajnych opinii. Zaraz w następnym numerze nie może p. Koźmian wystawić sobie w ł a d z y w rękach ministrów — wspomina o i s t n i e j ą c y m s t a r y m p r o g r a m i e Galicyi, o tem, że „co się tyczy ustroju państwa austryackiego i stosunku do niego, Ga-

*) Przegląd polski tom I. str. 569.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

U Kabylów i Arabów czystość obyczajów większa. Nazwać by ich można arystokracyą muhametańską, tak co do postępowania jak majątku i wykształcenią. Odróżniają się oni od Beduinów głównie osadnictwem stałem, dobrobytem, zamiłowaniem literatury arabskiej, uczonością i pewną dziwną imponującą powagą na śniadych i spiżowych twarzach. Płeć u najrozmaitszych szczepów algierskich jest najrozmaitsza, począwszy od białości kaukazkiej rasy do hebanowej czerni plemion chamickich i murzyńskich. Niewiasty, podobnie jak w Turcyi zobaczyć trudno. Miałem jednak sposobność przy zajęciu bagnetem pewnej osady na pograniczu marokońskiem, widzieć także kobiety w pożyciu domowem, w stroju nic zasłaniającym niczem ich wdzięki. Szpetnemi ich nazwać nie można, chyba cera twarzy i ciała razi oko do północnej białości przywykłe.

Lecz co najbardziej mnie zadziwiło i czegom nie przypuszczał wcale w Algeryi, to powszechne tatuowanie mniej lub więcej sute i bogate. I to nietylko nogi i ręce kobiet bardzo udatne i symetryczne przedstawiały wzory, że zdawało się, iż noszą na sobie obcisłe, w różne figury utkane trykoty, ale i na szyi i ramionach, aż głęboko na piersi zauważyłem misterne malowidła, na miękkiej jak heban skórze. Nawet na czole i przy jamie ocznej były ślady tego tatuowania. Te znaki na twarzy w kształcie prostych kresek na cal długich, są jawnym dowodem i, że tak powiem, rachunkiem płodności niewiasty. Ile kresek tyle dzieci, a kto zna dumę matek, a do tego matek wyznania proroka, łatwo oceni, że zeszpecenie to, czarnemi jak sadze znakami, u estetyków tamtejszych, taki sam ma walor, jak u nas oznaka honorowa lub przynajmniej u posiekanego „korpsstudenta“ niemieckiego, rapierowe blizny, których liczba im większa tem większy zaszczyt dla właściciela. Uwagę tę zrobiłem na miejscu sąsiadowi memu w szeregu, hrabiemu Baudifinowi, którego policzki z czasów Heidelberga raczej do befsztyka *à la Tartar* podobne były, niż do gładkiej twarzy młodzieńczej, lecz jak wszędzie tak i tutaj „są gusty, guściki i guściska“ a „de gustibus non est disputandum“.

Najbogaciej z kobiet noszą się kobiety z narodu żydowskiego, którego jest w Algieryi dość znaczna liczba, bo statystyka podaje na 4 miliony mieszkańców przeszło 50,000 starozakonnych. Cały ich strój formalnie przeładowany złotem. Na głowie czepiec w kształcie półkuli ze szczerej blachy złotej, sadzony kamieniami drogiemi, na rękach i ramionach pierścienie i kosztowne naramienniki, a na piersiach pełno ogniwkami ze sobą spojonych lujdorów i dukatów najrozmaitszych narodowości, które czasem już same reprezentują majątek.

Legionista omijany przez osoby cywilne, stroniony tak przez Europejczyków jak Moslemów zmuszony jest szukać tylko między swemi kolegami towarzystwa. W ten sposób utworzyły się w legii nieomal związki z poszczególnych narodowości, których członkowie li tylko z sobą obcują, sobie pomagają, wspólnie wychodzą, wspólnie radzą, słowem braćmi są sobie w szczęściu i nieszczęściu. Węgier obcuje tylko z Węgrem, Grek z Grekiem, Szwed ze Szwedem, Polak z Polakiem. Jedynie u Niemców tej solidarności zauważyć nie mogłem, czy z kosmopolitycznego usposobienia, lubiącego podszywać się pod inne narodowości, czy też, że liczba ich największa, a materyał najlichszy. Niemcy błąkają się jak błędne owce w najrozmaitszych narodowościach, wszędzie nienawidzeni, deptani i wyszydzani.

Polaków było nas dość sporo w depotowej kompani pułku pierwszego. Był Junosza Bojanowski z pod Krotoszyna, którego rodzina po stracie majątku poszła do Warszawy, był Chersoński, ekskapitan ruski, nieszczęśliwy fantasta, był Łukowski, Gałecki, Szmyt inżynier, Switała, Karp, Galicyanin, Pietryszkiewicz, syn jenerała ruskiego, Rakowski, zrodzony na emigracyi i inni. Zyli-

licya dawno tyle razy i pod tylu formami i przez tyle organów wyrażała swe zdanie". Właśnie wówczas przybywał Gołuchowski do Galicyi jako świeżo mianowany namiestnik. P. Koźmian cieszy się, że Gołuchowski został namiestnikiem, ale wolałby wprzód urządzenia kancelaryi nadwornej dla Galicyi lub sekreteryatu stanu w Wiedniu dla spraw polskich (nie galicyjskich). W myśl programu Ziemiałkowskiego chce widocznie odrębności Galicyi, chce dla niej „kanclerza". Gołuchowskiego chwali, ale nie podobają mu się mocno demonstracye na cześć jego urządzane; ta lojalność mocno go nawet irytuje, choć irytacyę owija w grzeczne słowa. Mówiąc o położeniu naszego narodu, oświadcza stanowczo p. Koźmian, że „jedyny nasz wróg, to Moskwa"

Proszę mi znowu powiedzieć, gdzie tu jest przyszłe stańczykostwo, gdzie tu jest własny program, który ma na nowe tory wprowadzić politykę polską pod zaborem austryackim. Ta nowa droga była już wytknięta, ale przez innych, a przyszli Stańczycy trzymali się względem niej w pewnej rezerwie, stawiali nawet wysokie żądania, narzekali na zbytek lojalności, oponowali przeciw władzy ministrów, żądali innej postępowej ordynacyi wyborczej, przyznawali zasługi i pożyteczność idei demokratycznej, chwalili posłuszeństwo tajemnemu rządowi narodowemu, palili kadzidła dla wolnomyślności, oświadczali wreszcie przez pióro pana Koźmiana, iż stoją z dala od skrajnych opinii. Na to zresztą, że nie oni wynaleźli nowe tory, że owszem, tym nowym torom stawali na przeszkodzie, są jeszcze inne dowody, które później przytoczę.

Trzy lata wychodził już „Przegląd polski", zanim się zdecydował na ową „pierwszą formę wystąpienia szkoły wojującej, którą była Teka Stańczyka". Narodziny „Przeglądu" bowiem przypadają 1-go lipca r. 1866, a początek Teki drukowany w maju r. 1869.

Tak wygląda prawda o założeniu „Przeglądu" o ileż odmienna od tego, co p. Koźmian mylnie przedstawia, przy pomocy potoku frazesów i przez umyślne opuszczenie trzechletnich dziejów tego miesięcznika. Kto czyta rozdział XII jego „Rzeczy", ten dowiaduje się, że grono krakowskie przystąpiło mniej więcej zaraz po roku 1863 (bliższej daty ze zwykłym sprytem p. Koźmian nie podaje) do ustalenia zasad nowej szkoły. Założyciele jej „odszukali wszystkie (no! no!) przyczyny upadków i klęsk porozbiorowych" (str. 343), spostrzegli, że przyczyny te tkwiły także w charakterze i temperamencie narodu" (str. 344). „Szkoła założywszy sobie naprawę wychowania społeczeństwa i walkę z wadami narodowemi stała się wojującą, ażeby zapewnić zwycięstwo wierze nowej, patryotyzmowi politycznemu... Musiała zatem wejść w zapasy z dawnemi pojęciami i z ludźmi, wytknąć i wyciąć w dziewiczym lesie nałogów, wad, przyzwyczajeń i wyobrażeń nową drogę. Na jej drokowskazie wypisała: zaniechać niepodobieństw, robić wszystko co możliwe" (str. 360). I zaraz w dalszym ciągu tych frazesów idzie ustęp: „Na wiosnę 1866 rogu Stanisław Tarnowski wyszedłszy z więzienia, spotkał na rynku krakowskim itd. itd, — Dalszy ciąg tej Koźmianowskiej prawdy znają już czytelnicy.

LITERATURA I SZTUKA.

Tęsknota za krajem
w naszej literaturze.

(Odczyt adw. Bernarda Chrzanowskiego, wygłoszony w dniu 6-go marca na sali Bazarowej w Poznaniu.)

Tęsknota za krajem — nostalgia — to niepohamowana żądza powrotu do ojczystej ziemi. Zjawia się ona u ludzi dla ziemi tej nieobojętnych, a zdala od niej przebywać zmuszonych prawie koniecznie. A nie jest to uczucie, któreby można lekceważyć jako dające się stłumić, niezdolne zawładnąć całą duszą człowieka; przeciwnie, przechodzi ono zazwyczaj łatwo w stan chorobliwy znany w medycynie a nawet w prawie karnem. Szczęśliwy ten, u którego tęsknota za krajem po przybyciu na obczyznę, pojawiwszy się i i przebywszy stan zapalny, mija, — nieszczęśliwy u kogo przejdzie w stan chroniczny. Zamęczy go wtedy nieustauny niepokój, smutek i łzy, a powolny zanik sił fizycznych i umysłowych przemieni mu życie w ciągłe cierpienie. Przypominam nas tyczące wypadki nostalgii z czasów niedawnych, z czasów przenoszenia nauczycieli naszych na Zachód, w głąb Niemiec. Oto uczucie to przemienione w chorobę tak zaczęło trapić żony kilku z nich, że po przedłożeniu świadectw lekarskich minister czuł się zmuszonym przenieść nauczycieli naszych z powrotem nad Wartę. Przypominam nostalgią spowodowane częste samobójstwa szwajcarów, służących po dworach obcych monarchów, a wreszcie obłąkania wygnańców sybirskich. To medycyna.*) W prawie karnem znane są wypadki w których nostalgia powodowała — najczęściej dziewczyny idące za służbą w kraj obcy — do zabójstw lub podpalań w chorobliwem przywidzeniu, że przez ten czyn zbrodniczy dostaną się z powrotem między swoich.**)

Uczucie tak silne i potężne nie może nie przejawiać się i w literaturze, jako zwierciadle narodowego życia, już to mniej już to więcej, stosownie do tego czy okoliczności każą uczuciu temu ogarniać tylko jednostki, czy też jaką większą część społeczeństwa.

W obcych literaturach występuje tęsknota tylko sporadycznie, może najsilniej w literaturze żydowskiej. Wspominam tylko 137 psalm Dawidowy tłomaczony tyle razy przez naszych poetów jak Lenartowicza, Ujejskiego i wielu innych.

*) August Chatelin — Einige Betrachtungen über die Nostalgie. — Wurzburg 1860.

**) Dr. Ferdinand Maack — Heimweh und Verbrechen. — Leipzig 1894.

śmy z sobą jak bracia, chociaż rozmaite stopnie nas od siebie dzieliły. Podczas gdy bowiem Chersoński był już sierżatem, Gałecki adjutantem nawet, a ja dopiero instruktorem czyli gefreitrem, nie robiło to bynajmniej różnicy, by na wspólnych schadzkach dzielić się wiadomościami z ojczyzny, kieszenią i radą. Byliśmy dostatecznie zaopatrzeni w lekturę; Chersońskiemu dosyłano z Wilna od czasu do czasu gazety z pod ruskiego zaboru, Bojanowski otrzymywał z Paryża, gdzie miał krewnego sekretarza w ministeryum wojny p. Koszutskiego, pisma tak polskie jak francuzkie, a czasem i powieść jaka romans lub nowela, zabłąkały się na równiny afrykańskie. Będąc w jednej kompanii (2-giej) poszliśmy wszyscy razem później do Tonkinu, by luzować tamtejszą załogę; razem też, prócz inżyniera Szmyta, który pozostal w Indyach i przeszedł do anamicko-chińskiego wojska, robiliśmy wyprawy wzdłuż i wszerz Algeryi, przedsięwzięte celem uskromnienia buntujących się ustawicznie szczepów arabskich.

Wyprawy takie są wszystkie mniej więcej sobie równe: opis jednej da obrazek sposobu wojowania tamtejszego i utarczek bezustannie się wydarzających.

Wróciliśmy byli już z wyprawy Tonkińskiej. Należałem do drugiej kompanii batalionu czwartego, pierwszego pułku, gdy odebraliśmy rozkaz, wyruszenia w kierunku gór Dżebel-Aures. Drugi już dzień trwał pochód wśród afrykańskiego upału, a tego samego dnia jeszcze mieliśmy stanąć u podnóża gór. Maszerować wypadało z wszelką ostrożnością, gdyż przypuszczać było trzeba, że Arabowie, świadomi każdej ścieżyny, każdego wąwozu i jaskini, niezawodnie czyhali gdzieś w sasadzce.

Było nas przy wyruszeniu około 200 chłopa; chorych i niezdatnych do tej wycieczki pozostało w garnizonie Sidi-bel-Albesu, gdzie kompania nasza po powrocie z Chin stanęła załogą, mniejwięcej 300. Lecz nasza niespora gromadka zanim stanęliśmy w Meszeryi do liczby stu zeszczuplała.

Brak wody odczuwaliśmy najdotkliwiej. Nacóż nam się przydać mógł prowiant i konserwy, kiedy gotować ich nie było można. Zresztą o posiłku nikt nie myślał, nikt nie skarżył się na głód. Natomiast pragnienie, pragnienie piekielne, to był demon, który nas wszystkich dręczył straszliwie. Już o godzinie 4 z rana wyruszyliśmy z ostatniego biwaku, by o ile możności przed najwścieklejszym upałem dostać się w upragnione góry.

„Rendez-vouz z drzewem bez wody" brzmiało na karcie oznaczenie ostatniego biwaku. Przedostatni był taki sam, chociaż dnia tego odbyliśmy marsz podwójny, nie mniej jak 70 kilometrów drogi, by jak najwcześniej przedostać się przez okolicę bezwodną i dostać się do wyżyn Dżebelu. Maszerowaliśmy już 4 godziny. Ponuro i w milczeniu wlókł się żołnierz coraz dalej, z wysokim tornistrem na plecach, którego ciężar w upale tembardziej dokuczał.

Jak daleko zasięgniesz okiem, dokoła nic jak piasek i niebo, niebo i piasek. Słońce od dwóch godzin było już na niebie i niemiłosiernie paliło ognistemi swemi promieniami. Niebo miało kolor popiołu, a atmosfera drgała formalnie w falistych poruszeniach, podczas gdy rozpalony miałki piasek, mimo ciężkiego munduru przedostawszy się aż do skóry, niemiłosiernie gryzł nam ciało. Dalej już prawie iść nie było można. A właśnie teraz potrzebna była jak największa ostrożność, gdyż Arabom zbyt dobrze znane są niebezpieczne marsze i wycieńczenie żołnierzy.

Nareszcie dotarliśmy do gór i postępowaliśmy z rezygnacyą dalej. Lecz nadzieja, iż tu przynajmniej znajdziemy nieco chłodu i cienia, zawiodła.

Pył i piasek, deptany zmęczoną naszą nogą, wzbijał się w tak gęste tumany kurzu, że prawie oddychać nie było podobno: nie tylko słońce paliło z góry, a piasek z dołu, nie, także i góry zamieniły się w olbrzymie reflektory, od których słońca promienie całą siłą się odbijały. Postępowaliśmy w wolnym pochodzie to w górę, to na dół, niemal zaduszeni kurzawą, która gardło wysuszała i piekła. Każdej chwili spodziewać się było można napadu Arabów, ukrytych gdziekolwiek po za skrętem drogi lub gór urwiskiem. Płaszczyzna stawała się coraz więcej stroma, pocięta i obfita w wąwozy i doliny. Stajemy. Przed nami cały chaos przepaści i otchłani skalistych. Kapral Boruta odbiera rozkaz z dziesięciu szeregowcami pojść

Przytaczam go w tłomaczeniu Jana Kochanowskiego:

Siedząc po nizkich brzegach Babilońskiej wody
A na piękne Syońskie wspominając grody,
Co nam inszego czynić, jeno płakać smutnie,
Powieszawszy po wierzbach niepotrzebne lutnie.

. . . .

Jeślibym Cię zapomniał o kraino święta,
Niech moja swej nauki ręka zapamięta,
Niechaj mi język uschnie, kiedy cię przepomnę,
Kiedy Cię na początku wesela nie wspomnę.

Jest to, zdaje mi się, najstarszy dokument nostalgii w literaturze polskiej.

Znał ją jednak też już i Homer; jeden z bohaterów Iliady pragnie pod Troją zobaczyć przecież nareszcie dym unoszący się z dachów na ojczystej ziemi! Znał ją i Dante; nie obcą jest i Szekspirowi, dodając uroku jego dramatowi Cymbeline. Nie jest to jednak u nich nostalgia czysta, lecz połączona z tęsknotą za ukochaną kobietą. — Jest tej nostalgii dużo w pieśniach bretońskich; jest w Schelleyu i w Byronie, najpiękniejsza w tym — może właśnie dla tej tęsknoty — przez Mickiewicza tłomaczonym ustępie z Podróży Child-Harolda. Podzwania ona i u Heinego; Goethemu natchnęła „Kennst du das Land, wo die Citronen blühen.“

Wszystko to są przejawy nostalgii jako uczucia nawiedzającego pewną jednostkę, nie objawy nastroju ogarniającego cały odłam jakiego społeczeństwa. Inaczej zupełnie u nas. — W naszej literaturze tęsknota za krajem takie poważne zajmuje miejsce, tak na nią w pewnej epoce jej rozwoju podziałała, jak — zdaje mi się — na żadną inną literaturę świata i nadaje jej przez to piętno nadzwyczaj charakterystyczne — różniąc ją od literatur innych narodów.

Złożył się na to cały szereg przyczyn. Oto najpierw po listopadowem powstaniu i każdem z późniejszych emigracya przymusowa na Zachód i niewola sybirska tak liczna i taką najlepszą część narodu zabierająca, że nie można do niej przyrównać ani niewoli żydów w Babilonie, ani emigracyi Hugenotów, ani żadnych innych gdziekolwiek zarządzanych banicyi. Emigracye, czy to Fenicyan i Greków zakładających kolonie handlowe, czy Rzymian podbijających świat starożytny, wielkie wędrówki ludów w średnich wiekach, podboje zamorskich krajów przez Hiszpanów i Portugalczyków, — to wszystko emigracye za chlebem, wyprawy gnane żądzą walki, żądzą zawładnienia nową ziemią, żądzą złota, — to ludy idące na obczyznę nie w smutku i przygnębieniu, lecz z nadmiaru siły i szczęścia. — Dalszą przyczyną to usposobienie i charakter naszego narodu, ta miękkość jego słowiańska, tkliwość, skłonność do melancholii, to ten wrodzony smutek, dźwięczący w melodyach i pieśniach ludowych. Organizm nasz społeczny skłonniejszy do przyjęcia się na nim tęsnoty i sposobniejszy dla jej rozwoju nie ma w sobie tej siły odpornej jak narody twarde, zimne (n. p. angielski), które nietylko mniej cierpią na nostalgię, lecz które nawiedza przeciwnie żądza ruchu, chęć opuszczenia rodzinnej ziemi.

Ci, którzy o nostalgii jako chorobie pisali, twierdzą wprawdzie, że podlegają jej najwięcej mieszkańcy gór, skoro je opuszczą; niektórzy nazywają nawet nostalgię „chorobą Szwajcarów“. Równiny nasze nie powinnyby zatem przyczyniać się do nostalgii. Zdaje mi się jednak, że nie chodzi tu tak o góry, jak o kontrast między krajem ojczystym a obcym, o wielkość różnicy między przyrodą opuszczonej a przybranej ziemi. Jak góral idący w równiny tęskni za górami, tak mieszkaniec nizin po pierwszym zachwycie nad wspaniałością górskiej przyrody doświadcza przy dłuższym pobycie jak gdyby braku widnokręgu; te olbrzymy duszą go i cisną; chciałby powietrza, rozległego widoku; oko pragnie wśród wzgórz i gór Zachodu równin Kujaw, Mazowsza i Podola.

Nie podlega wreszcie wątpliwości, że nostalgia jest silniejszą, występuje groźniej u ludów stojących na niższym stopniu oświaty jak u starszych cywilizacyą. Ponieważ zaś nie możemy zaprzeczyć pewnej młodszości cywilizacyjnej naszego narodu wobec ludów zachodniej Europy, przeto też i nostalgia u nas lepszy dla siebie znajduje grunt. Do wszystkiego dodać nam jeszcze trzeba, czy to przy emigracyi zachodu czy przy niewoli sybirskiej, gwałtowną rozłąkę z blizkimi krwią i sercem oraz — szczególniej w czasach dawniejszych — nieustanną myśl o niedoli całej ojczyzny i o tem tylko, jakby jej wolność wywalczyć. Nie dziw dla tego, że nostalgia w naszej literaturze mogła być przez pewien czas wszechwładną panią.

W dawnych czasach, w wieku XV i XVI brak jej wprawdzie zupełny. Ani Rej jej znać nie mógł, ani Kochanowski, bo ten, kiedy „przez morze głębokie żeglował“, kiedy „Francuzy, Niemce, Włochy i Sybiline lochy“ nawiedził (Pieśń XXIII. Do gór i lasów. IV księga) — to czynił to jedynie dla Horacyuszowskiej maksymy:

„....A dokadeś młody,
Użyj świata za czasu i pięknej swobody“.

(Pieśń XII. Do Piotra Kłoczewskiego).

W prozie, w pamiętnikach z wypraw w ościenne nieprzyjacielskie kraje, nie ma także nostalgii. Jeżeli — w dyaryuszu Piotrowskiego z wyprawy pod Psków — szlachta nasza w obozie wśród zimy tęskni za czem, to jedynie za „ciepłem piwem“ przy domowem ognisku. Wyprawy wojenne były niedługie, a ludzie ówcześni mieli żołnierskie dusze. Tęsknota się ich nie imała. lub otrząsali się z niej szybko. Jest o tem ładny bardzo a charakterystyczny ustęp w Paska Pamiętnikach: „Poszliśmy tedy tym traktem od Międzyrzecza; przechodziło wojsko pagórek, z którego widać było jeszcze granicę polską i miasta. Jaki taki, obejrzawszy się, pomyślał sobie: „Miła ojczyzno! czy cię też już więcej oglądać będę“. Jakaś tęskność ogarniała zrazu, póki blizko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jak ręką odjął; a dalej poszedłszy, już się i o Polsce zapomniało“.

Jak nie mogło być tęsknoty za krajem wtedy, gdy Rzeczpospolita była silną i potężną, tak nie mogła się ona zjawić także w późniejszych czasach ogólnego niezdrowia społecznego, w czasach, jeżeli nie żadnej, to małej miłości ojczyzny. Dopiero, gdy uprzytomniono sobie utratę niepodległości, i gdy zrozumienie tej wielkiej straty rozbudziło w młodszej generacyi polską duszę, gdy chęć naprawienia złego popchnęła szeregi całe do legionów, wtedy rozgościła

---

przodem na zwiady i znika wkrótce za skrętem skały.

Boruta, Polak rodem, gospodarz z zawodu, już rok drugi służył w legii. Zgłosiwszy się po powrocie z Tonkinu do „peleton d'instruction“ (szkoły kapralskiej) przed niedawnym dopiero czasem został podoficerem. Właściwe jego nazwisko było inne, my nazwaliśmy go Borutą dla niedźwiedziej siły. Chociaż był jeszcze młodym, a dodani mu szeregowce starszy po większej części żołnierze, z których ten i ów już 15 lat służby wojskowej miał po za sobą, cieszył się jednak zaufaniem wszystkich dla bezczelnej swej śmiałości, którą się nieraz jeden podczas wypraw wojennych popisać miał sposobność. Rozwinął swoich ludzi, wysłał boczne patrole, sam w sześciu chłopa idąc środkiem w łańcuch rozrzuconego oddziału.

Nagle z prawego skrzydła wychylają się tajemnicze i podejrzane postacie. Białe burnusy wątpić nie dają, iż to Arabi, a pozycya ich przyczajona i długa fuzya u każdego dowodzą, że są na czatach. Boruta odsyła raport do głównego oddziału, na ziemię połaść się swoim znak daje i komenderuje dalej na szczyt skały, która stokrotnem echem się odbija. Ruch powstaje po wszystkich wierzchołkach. Kędy spojrzysz, Arabi jak gdyby z ziemi wyrośli. Oddział główny nadchodzi i natychmiast, mimo dziesięciokrotnej przemocy wszczyna regularną potyczkę.

Kompania cała w łańcuch podwójny rozwinięta z bagnetem na karabinach awansuje, by wyprzeć Arabów z ich pozycyi. Pragnienie w jednej chwili zapomniane, nie znać u nikogo zmęczenia ani sił wyczerpania. Tylko naprzód, naprzód, to myśl jedyna ożywiająca każdego. Za mną postępuje Flamandczyk, mężczyzna starszy, eks kupiec młodzi prasowanych z Antwerpii, któremu już tchu niedostaje, tak że potknąwszy się nogą o kamień, na ziemię pada pokotem, a wparowawszy mi przy upadku bagnet w tornister, z sobą wywraca. Powstaję co żywo na równe nogi, czuję, iż bagnet tylko lekko mnie drasnął, zaklinam jasnemi piorunami na niezgrabę i w drugiej chwili już się zrównałem z oddziałem. Arabowie, w broń starego systemu zaopatrzeni, celnie lecz wolno nas prażą. Ten i ów legionista pada nieżywy lub ranny. Pięć minut mija, wdrapujemy się na wierzchołki, a wróg wyparty pierzcha na wszystkie strony.

Podczas gdy oddział nasz z frontu szturmuje, Boruta ze swoją garstką obszedł niepostrzeżenie lewe skrzydło nieprzyjaciela. Tu stroma jak ściana skała dalszy pochód tamuje. „Tworzyć piramidę — rozkazuje — dostaniemy Arabów w dwa ognie“. Szybko gromadzą się najsilniejsi, dwóch, innych wspina się na ich ramiona, a Boruta na sam wierzch się wdrapuje. Szczęście, że brzegu skały dosięgnąć może. Zwinny jak kot, w oka mgnieniu osadza się na szczycie. Spoziera dokoła z nieufnością, widzi, iż został niepostrzeżonym. Co żywo odpina „ceinture“ i spuszcza na dół. W krótce drugi, trzeci, dziesiąty znajduje się na skale i natychmiast w przyspieszonym biegu dążą wszyscy, by wpaść w bok nieprzyjaciela. Główny oddział legii ich spostrzega i wita grzmiącym „hura“, lecz w tem Arabi jak tygrysy, cofając się w stecz przed ogniem, niszczącym atakujących od frontu legionistów, rzucają się w odwrocie na pewną swą zdobycz. Boruta ze swymi przystawa, salwa po salwie dziesiątkuje wyjącą czerń arabską, żadna kula nie chybia celu. Ale liczba nieprzyjaciół za wielka. Okoleni ze wszechstron już tylko bagnetami bronić się są w stanie. Rozpoczyna się straszliwa i rozpaczliwa walka, toczona z mestwem, godnem lepszej sprawy, niż jarzmienie nienawykłych do kajdan synów pustyni. Cały wał trupów piętrzy się w koło garstki śmierci pewnych legionistów, którzy, zanim pomoc nadejdzie, w pień niezawodnie będą wycięci. Jeden po drugim pada. Boruta sam odbiera od herkulesowego wzrostu Araba, któremu bagnet aż pod samą rękojeść w brzuch pakuje, ogromny raz kolbą ciężkiego karabina i pada bez zmysłów. Nadchodzi odsiecz, Arabowie pozostali ratują się ucieczką, zabierając tych z sobą jako jeńców, którzy jeszcze znaki życia z siebie dawali. W ten sposób dostał się Boruta w niewolę arabską.

— — — — — — — — — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

się tęsknota po raz pierwszy w tysiącach polskich serc. Dawały one prostemi pieśniami ulgę wezbranemu uczuciu, a pieśni te szły z daleka do kraju i stały się podstawą tak potem rozpowszechnionej literatury rękopiśmiennej. Chociaż jednak każdy prawie z legionistów, idąc w kraj obcy, zabierał grudkę ojczystej ziemi ze sobą na piersiach, to tęsknota za krajem nie spowodowała w nim sentymentalizmu, nie stała się tak treścią jego pieśni, jak raczej motywem do ich tworzenia. Gwarne, obozowe, żołnierskie życie, ciągła czynność i ruch, nadzieja uzyskania powrotu zwycięzką walką, nie mogła tworzyć smętnych, tkliwych, rzewnych, lirycznych wierszy, lecz tchnące zdrowiem, siłą, męzkością i energią wojenne pieśni! Nie grali oni ani na gęśli, ani na lirence, lecz tęskniąc, pełnym a silnym głosem śpiewali: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę — co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy!“

Dopiero jednak po listopadowem powstaniu w czasie emigracyi, równocześnie z największym naszej literatury rozkwitem, nastaje najsilniejsze rozkrzewienie się w niej tęsknicy. Emigracya ta powiodła na obcą ziemię olbrzymi zastęp naszej inteligencyi. Brak spokojnej pracy potęgował wprawdzie wśród tych ludzi cierpienia wygnania, a swary wytwarzały dużo goryczy, tak że nie były to wcale okoliczności sprzyjające rozwojowi zdrowej poezyi. Zkądinąd jednak nadzieja niedalekiego powrotu i życie w ciągłej styczności ze swoimi, przeszkadzały chorobliwemu rozwinięciu się nostalgii. Przy takiem wzajemnem oddziaływaniu na siebie ujemnych i dodatnich czynników powstała nasza wielka poezya emigracyjna.

Tęsknota już to ją stworzyła, już to jest jej treścią, już to okrasą. Nie ma prawie z tych czasów poety, któryby pod jej wpływem nie tworzył, jej nie opisywał, lub nie brał jej dla dodawania swym dziełom pewnego odrębnego wdzięku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tołstoj.

o beletrystyce współczesnej.

Słynny autor i moralista, hr. Leon Tołstoj, zapatruje się niezbyt różowo na dzisiejszą beletrystykę. „Mam, co do tego, własną teoryę — powiedział do jednego z pisarzy ruskich. Nazywam dekadentami wszystkich literatów dzisiejszych, ponieważ w sztuce ich pozostała jedynie forma, tak dalece pod względem technicznym udoskonalona, że zmusza czytelnika zapominać o braku treści. Beletryści współcześni, nawet niezbyt utalentowani, posiadają umiejętność oddziaływania na wyobraźnię czytelnika z uszczerbkiem dla wszelkiej treści. Talent i sztuka pisarska mają na celu wyłącznie odtwarzania czegokolwiek, fotografowanie z najmniejszemi szczegółami jakiegokolwiek momentu. Beletrystom udaje się to tak dalece, że, czytając w powieści o jakimkolwiek panu, ubierającym się na obiad galowy, mamy przed oczyma naszemi jego biały krawat, kamizelkę i frak. Dawniej opisy podobne z trudnością przychodziły nawet największym talentom, dziś każdy to robi z łatwością. Pisarze, tworząc swe dzieła, nie rozpalają się nawet podczas swej pracy i są w stanie wywoływać efekty, nie czując w duszy swej nic, co warte byłoby wypowiedzenia. To samo widzę w dziedzinie muzyki współczesnej i we wszystkich rodzajach sztuk pięknych. W duszy zupełna pustka, a jednak tworzą i piszą z całkowitem powodzeniem. Sztuka przestała być rzeczą poważną, jak dawniej. Gdy Sofokles tworzył — było to dlań rzeczą boską; był kapłanem, przelewał w swe dramaty wszystko, co miał w duszy najlepszego i najistotniejszego, przez co lud cały go rozumiał. Mówił o rzeczach, mających znaczenie ogólne i treść wyższą, religijną. Również Beethoven, gdy tworzył, zapałał się cały, i wszystko, co najlepszego miał w duszy, wyrażał w muzyce. Dzisiejsi mistrzowie nie mają nic do powiedzenia, a jednak mówią, zapewne dla tego, żeby wywołać efekt w publiczności. Wszystko więc, co obecnie widzimy w sztuce, jest martwe, dobre i zrozumiałe tylko dla pewnych sfer społeczeństwa, dla których kreacye współczesnych twórców blizkie są jedynie przez to, że odfotografowane są z rzeczywistości. W tem właśnie tkwi dla sztuki największe niebezpieczeństwo. Ludzie, zwani przez wszystkich dekadentami, otwarcie głoszą, że wszystko polega na wrażeniach zewnętrznych, na grze efektów, nie mających styczności z treścią życia duchowego. W tym razie impresjonizm jest otwarty, podczas gdy u innych współczesnych pisarzy ukrywa się w tak zwanym realizmie. Napotykamy wprawdzie rzeczy, w których widać u autora to, co nazywamy tendencyą. Lecz tendencya ta sterczy w dziele, jak rodzaj drutu, na który np. naczepiane bywają kwiaty w sztucznym wieńcu. U jednego autora widzimy jakby zrujnowaną kupę kwiatów, nie naczepionych na nic, u drugiego — goły drut. Podobna tendencya wcale nie jest wyrazem głębokiej treści duchowej, która niezbędną jest w sztuce prawdziwej“.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Berlina.

Berlin, 25 marca.

(Chłopka-poetka. Lili v. Giżycki. Kongres przeciwagrarny.)

Stowarzyszenie prasy berlińskiej urządzając „Wieczór kobiecy“ złożyło dowód, iż miewa nieraz dobre pomysły. Śmietanka damskiego świata wypełniła po brzegi jednę z największych sal tutejszych, by posłuchać deklamacyi chłopki-poetki Joanny Ambrosius i odczytu znanej działaczki społecznej i literatki Lily v. Giżycki, wdowy po znanym etyku Jerzym Giżyckim. Od dwudziestu lat przeszło pisała Joanna Ambrosius wiersze, nie ogłaszając ich drukiem. Dopiero w 1894 r. jakaś znajoma skłoniła ją do wydania swych utworów, które od tego czasu dożyły już 24 edycyi. Gdy przed dwoma laty wyszedł w niemieckiem tłomaczeniu potężny utwór „La fatalita“ młodej włoskiej nauczycielki ludowej Ady Negi, w prasie dały się słyszeć skargi, że wśród nieprzejrzanej chmary piszących kobiet niemieckich nie ma ani jednej, którąby mogła iść w zawody z utalentowaną włoszką. Aliści przypadek chciał, iż wtedy właśnie przyjaciółka Joanny Ambrosius namówiła ją do ogłoszenia swych utworów. Wieść o odkryciu niemieckiej Negri rozeszła się szybko po niemieckiem państwie. Gdy jednak zajrzano do poezyi Ambrosius nastąpiło na razie rozczarowanie, gdyż zamiast gorących uczuć i namiętnego nawoływania do walki, otrzymano elegie, pełne pokory i smutku. Z czasem jednak rozczarowanie ustąpiło miejsca zachwytowi. Z utworów Joanny Ambrosius bije proste szczere uczucie, chwytające za serce czytelnika. I oto teraz przed świetną berlińską publicznością, przed wyperfumowanemi i wystrychniętemi damami stanęła chłopka-poetka by zwierzyć się ze swej przeszłości, w której zaznała dużo pracy i niewoli a mało radości. Dziwnie odbijała na tle wspaniale udekorowanej sali i bogatych tualet czarno ubrana chuda chłopka o spracowanych niezgrabnych rękach i czarnych smutnych oczach. Przed publicznością, która połowę swego czynnego życia spędza w różnych „badach“, a drugą zabija na flircie w buduarach, mówiła poetka o rozkoszach pracy. A gdy w jednym ze swych utworów zaśpiewała hymn ubóstwa, które w pracy znajduje swe szczęście, wtedy po pudrowanych pięknych twarzyczkach płynęły łzy wzruszenia; z piersi ściśniętych gorsetami wyrywały się westchnienia, las wysokich piór trząsł się na kapeluszach à la Rembrandt a bielutkie elegancie rączki składały się do szczodrych oklasków.

Po Ambrosius wystąpiła na estradę znana artystka Pospischilówna, by zadeklamować utwory Maryi Janitschek, poetki salonów i buduarów. Tu dopiero okazało się, jaki czar wywiera szczere uczucie. Sztuczne efekty i patetyczne zwroty salonowej poetki wychodziły blado i nikle po wylewach serca biednej chłopki.

Nareszcie wystąpiła z odczytem Lily v. Giżycki. Pani Lily, córka jenerała Kretschmana, wyszła zamąż za sparaliżowanego profesora jedynie po to, by go wspierać w jego działalności. Wraz z mężem należała do założycieli głośnego Towarzystwa i czasopisma „Kultura etyczna“. Gdy po śmierci męża Towarzystwo i czasopismo sprzeniewierzyły się zasadom, którym hołdował nieboszczyk, gdy należący do ruchu różni Geheimraci zachowywali się tchórzliwie i biernie w donioślejszych sprawach spełecznych, Lily v. Giżycki zerwała z prądem wspomnianym, ogłosiwszy przedtem powody swego postępowania. Jeszcze przedtem założyła wraz z panią Cauer pismo kobiece, które miało stać na stanowisku społecznem. Gdy niedawno 30 tysięcy tutejszych szwaczek ogłosiło bezrobocie, a pismo nie odważyło się wystąpić otwarcie w obronie t. zw. konfekcyonez, Lily v. Giżycki zerwała i z tem pismem i zajęła się czynnie sprawą wyzyskiwanych pracownic igły. Jeżeli jeszcze uwzględnimy, iż pani Lily napisała sporo bardzo pięknych broszur i artykułów w różnych kwestyach społecznych, że posiadając niepospolity talent literacki, zdradza jednocześnie wszechstronne wykształcenie, co u kobiet zdarza się bardzo rzadko, lub prawie nigdy (między innemi wydała pośmiertną pracę męża „Wykłady o społecznej etyce“), to zrozumiemy, że kobieta ta musi zażywać szacunku i popularności wśród publiczności i w prasie. Pani v. Giżycki miała odczyt o „nowej kobiecie“ w nowoczesnej literaturze. Wśród sykania i oklasków oznajmiła, iż dotychczas nie udało się żadnemu autorowi przedstawić „nowej kobiety“. Najwięcej uwagi poświęciła prelegentka literaturze skandynawskiej. Ibsen pierwszy kusił się o przedstawienie nowej kobiety, rwącej się do samorządnego życia. Lecz jego charaktery kobiece są ubogie pod względem uczucia. Nora porzucając swego męża, pozostawia dzieci w atmosferze, od której sama ucieka. Jeżeli kiedykolwiek da się uchwycić fizyognomię duchową owej kobiety, to nie nastąpi to prawdopodobnie ani w Anglii, ani w Skandynawii, gdzie antagonizm pomiędzy płciami został wysuniętym na pierwszy plan. W Niemczech, gdzie kobieta stopniowo zaciąga się do ruchu społecznego i wsparta o ramię mężczyzny ma dążyć ku wyższym ideałom, tu musi nastąpić objawienie „nowej kobiety“.

w literaturze. Entuzyazm idealistycznego serca p. Giżyckiej oddziałał tak potężnie na słuchaczki, iż odczytowi towarzyszyła burza oklasków.

Społeczne życie Niemiec stoi w ostatnich czasach w znaku walki agraryuszów z ich przeciwnikami. Przed kilku tygodniami odbył się dorocznym zwyczajem hałaśliwy zjazd Związku niemieckich rolników, o czem donieśliśmy w swoim czasie. Uczestnicy przypięli łatki ministrom, nie przysięgającym na ewangelię Kanitza i jednocześnie ogłosili, iż nie odetchną, dopóki nie osięgną swych celów. Manifestacye te jak należało się spodziewać nie sprawiły wielkiego wrażenia. Najsmutniej musiała dotknąć rezolucya Zjazdu ministra rolnictwa v. Hammersteina, albowiem zażądano, by przez próg jego mieszkania nie przestąpił ani jeden rolnik, dopóki minister nie cofnie swych obelżywych wyrazów, skierowanych w stronę Związku. Nie zachodzi wprawdzie obawa, aby rząd wziął zbyt gorąco do serca dwa główne żądania związku: projekt hr. Kanitza i bimetallizm, lecz wpływ agraryuszów występuje dobitniej pod innym względem. Komisye parlamentarne roztrząsają dwa projekty wylęgłe w obozie agrarnym: margarynowy i giełdowy. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, iż projekty te w odpowiednio zmodyfikowanej formie zyskają sankcyę parlamentu a tembardziej rządu, który tem ugłaskałby serca rozjuszonych szermierzy agrarnych. Ta właśnie okoliczność, iż rząd nie zechce być na wojennej stopie ze Związkiem rolników niemieckich, wywołała obszerną agitacyę przeciwagrarną. Sztandar tego ruchu ujął w swe ręce stan handlowy.

W ubiegłym tygodniu odbył się kongres, na który przybyli deputaci wszystkich korporacyi handlowych, istniejących na całym obszarze niemieckiego terytoryum. Kongres, jak nakazuje zwyczaj, zagaił minister Boetticher. Musimy wyznać, iż rola Boettichera była arcynieprzyjemną. Z jednej strony w przemówieniu powinien był wskazać na kwestye, któremi ma się zająć zjazd i zachęcić do poważnego traktowania sprawy, z drugiej strony, lubo jest twórcą projektów, przeciwko którym zjazd miał manifestować, musiał przez grzeczność udawać, iż sympatyzuje z intencyami zjazdu. O godzinie 11 z rana Boetticher z patosem oświadczył, iż dewizą jego działalności jest nie krępować rozwoju ekonomicznego, a o godzinie drugiej po południu tego samego dnia w parlamencie bronił paragrafu, ograniczającego sferę komiwojażerów. Jeszcze inny minister v. Berlepsch starał się udobruchać rozgorączkowanych uczestników Zjazdu. Przemawicjąc na bankiecie zorganizowanym na cześć kongresu, uraczył stan kupiecki Niemiec całym bukietem komplementów. Program zaś nakreślony przez niego był duplikatem Boetticherowskiego. To też widocznie oracye te pozostały bez skutku, skoro po kilku zaledwie dniach odbyło się zebranie, na które zostali zaproszeni delegaci stanu handlowego całych Niemiec w celu omówienia środków dla stawiania oporu aspiracyom agraryuszów. Mowy były gorączkowe i jakkolwiek uderzały swą frazeologią, w wielu ustępach przypominały owe stare czasy, gdy przedstawiciele handlu i przemysłu przemawiali w Niemczech w imieniu całego narodu i byli rzecznikami jego gorących życzeń. Większość ekonomicznych żądań z owej epoki urzeczywistniła się. Słusznie więc postąpili zebrani, nakreślajac obecnie program negatywny i walkę obronną przeciwko nadmiernym pretensyom agraryuszów. Mówcy zaznaczali, iż projekt margarynowy i giełdowy jest pierwszym krokiem ku zboczeniu z dotychczasowej drogi wolności handlu i przemysłu. Oprócz tego zebrani oburzali się, iż rząd wprowadzając wspomniane projekty, tamujące handel i kontrolujące jego przedstawicieli, zaświadcza swe niezaufanie do moralnej kwalifikacyi przedstawicieli ruchomego kapitału. Wybitnym momentem zebrania była mowa starego polityka z 1848 r., Ludwika Bambergera, twórcy złotej waluty i filara monometalizmu w Niemczech. Słuchając jego mowy można było się poddać iluzyi, iż koło historyczne cofnęło się wstecz, co najmniej o lat 30.

M.

Z estrady i sceny.

„Szczęście w zakątku“. Sztuka w 4 aktach przez H. Sudermanna.

Kto po najświeższej premierze Sudermannowskiej spodziewał się odurzających perfumów a la „Koniec Sodomy“, „Gniazdo rodzinne“, lub „Walka motyli“, kto pragnął mózg połaskotać błyskotkami olśniewających paradoksów, któremi bawić się lubi dyalektyczny umysł autora „Honoru“, — ten z „Szczęścia w zakątku“ wyniósł niewątpliwie pewne rozczarowanie. W tej sztuce jest dużo słońca i dużo zdrowia. Sudermann opuścił bagniska życia, przeniósł słuchaczów w atmosferę czystszą i roztoczył przed okiem naszem konflikt dramatyczny bez paprykowej przyprawy, której pożąda popsuty smak zblazowanych premierowiczów w Berlinie i Wiedniu.

Kurtyna się podnosi. Na scenie ukazuje się zaciszne mieszkanie dyrektora trzyklasowej szkoły gminnej. Jest to jedna z owych złamanych egzystencyi, które każdy z nas na drodze życia swojego spotykał, a w której znalazł i żalu trochę i rezygnacyi wiele i ciche westchnienia za rajem zagasłych gwiazd młodości. O Wiedemannie mówiono w latach uniwersyteckich, że na skrzydłach talentu wzniesie się wysoko. Ale chłopiec był biedny, tułał się po korepetycyach, wreszcie ożenił się z ubogą dziewczyną i pchając taczkę życia, sterał zdolności i siły. Inni mniej zdolni, ale szczęśliwsi, poszli wysoko, — on zmęczony zawinął do cichej przystani szkółki ludowej i owdowiawszy, pędził wraz z trojgiem dzieci żywot obowiązku. Lecz w pasmo dni prostych, znojnych i pogodnych wplątała się nagle kobieta. Opodal miasteczka leżał zamek barona Rocknitza, dawnego ucznia i wychowańca Wiedemanna. Röcknitz, junker pomorski, wykrojony z drzewa Bismarcków, natura brutalna, lecz zwycięzka, dzika lecz imponująca, potomek Raubritterów i dyplomata, dąb w barokowe przykrojony kształty i egoista bezwzględny, — przy jego boku żona cicha, potulna i zafukana, — a przy tych dwóch istotach daleka kuzynka, dziecko podupadłej rodziny magnackiej, typ wielki, szlachetny i dumny, jakieś dalekie echo legendowej Brunhildy — oto mieszkańcy junkerskiego zamku. Röcknitz i Elżbieta pokochać się muszą. Dobór płciowy dyktuje tu prawa swoje z nieubłaganą koniecznością; jego nęci imponująca szlachetność i granitowa duma kobiecego typu, ją pociąga nieokiełznana siła Bismarckowskiej natury. Inaczej być nie mogło, konflikt jest nieunikniony. Zwycięzka zaborczość barona nie zna żadnych pęt i żadnych granic. Gdy Elżbieta odpycha jego galanterye lubieżne, decyduje się rozwieść z prawowitą małżonką swoją i w drodze legalnej zdobyć ukochaną. Lecz kobiety „z rodziny olbrzymów“ nie wydzierają przyjaciółkom mężów. Elżbieta po strasznej walce wewnętrznej odpycha zaloty Röcknitza i z rozbitą duszą szuka wyjścia z strasznego zamętu. W takiej chwili zjawia się Wiedemann, owdowiały dyrektor szkoły trzyklasowej; widzi jej łzy, kocha ją jak świętą i ofiaruje zmęczonej kobiecie rękę swoją wraz z „szczęściem w zakątku“. Rozdarta dusza Elżbiety pragnie ciszy i ukojenia, więc „dziewczyna — olbrzym“ wstępuje do małego domku małych ludzi i małego świata, — byle uciec od kusiciela, zakopać się głęboko i wyszarpać z mózgu wspomnienia.

To wszystko już się stało przed podniesieniem kurtyny. Dramat zaczyna się z chwilą, gdy w lilipuciem królestwie Wiedemannów, gdzie berło dzierzy Elżbieta, uwielbiana przez męża, małych pasierbów i ślepą pasierbicę, zjawia się Röcknitz, — strzelec na tropie zwierzyny. I rozpoczyna się walka. Niezwyciężony staje przed niezwyciężoną, — kto wprzódy się złamie? Zygfryd czy Brunhilda? Jest jedna chwila, w której Elżbieta się ugina. Zmęczona walką chwieje się, mówi „kocham“ i bezprzytomna pada w objęcia barona. Minuta upojenia, długi pocałunek, — lecz nagle wraca przytomność i duma i bunt. Zdradzić tego, który w godzinach rozpaczy przygarnął ją do siebie i oddał wszystko, co prosta dusza jego dać mogła, — wydrzeć męża przyjaciółce, — nigdy! Lecz Rocknitz nie napróżno się chlubi, że ród swój wiedzie z Raubritterów dawnych. On teraz mniej niż kiedykolwiek myśli o rezygnacyi. „Nie staraj mi się wymknąć — mówi do Elżbiety, — bo gdziekolwiek pójdziesz, ja pójdę za tobą. Nie wahaj się i nie opieraj. Jam gotów na wszystko. Stanę przed mężem Twoim i powiem tak, jak dawny rycerz-rozbójnik: Kocham żonę Twoją i Twoja żona mnie kocha. Daj mi ją — czy słyszysz?“ Elżbieta słucha i plan rozpaczliwy w mózgu jej dojrzewa. Cyniczne aluzye Rocknitza w szerokiem gronie obojętnych osób zraziły jej duszę subtelną, brutalność ukochanego zaczyna ją odpychać i jakiś dziwny niesmak i strach budzi się w głębinach duszy. Zapoznana przez jedynego mężczyznę, którego kochała, niepojęta przez męża z rodu pospolitaków, z nieugiętą groźbą Rocknitza nad głową, z poczuciem wpół przerwanego wiarołomstwa w piersiach, szamoce się, kurczy w zwątpieniu i idzie smutna, by na dnie rzeki o nocnej porze szukać ukojenia. Na drodze swojej znajduje męża. Niepokój jej i dwuznaczne słowa zbudziły podejrzenia jednego z podwładnych rektora, poczciwego chłopca, który w prostocie ducha swojego przypuszczał, że Elżbieta z Rocknitzem zbiegnie w świat daleki, i o domysłach swoich doniósł rektorowi. Wiedemann czeka, — drzwi nie zarygluje, raz ostatni z nią pomówi jeszcze i niechaj idzie. Rozpoczyna się dyalog końcowy. Elżbieta wyznaje mężowi wszystko, mówi o jednej chwili słabości, mówi że na śmierć idzie, bo z pocałunkiem barona na ustach dłużej w cichym zakątku królować nie może. Lecz on otwiera ramiona: Zostań! A gdy się waha ta dumna i czysta istota, wtedy dziwne jej szepce zwierzenia. On wtenczas, gdy błagał o rękę znękanej i łzami zalanej Elżbiety, mniemał, że ta, którą w domowe swe progi jako małżonkę wprowadza, padła ofiarą jednego z arystokratycznych uwodzicieli, a mimo to... mimo to, czy też właśnie dla tego, znalazł odwagę wymówić słowo miłości. Następują uściski, okrzyki w rodzaju znanego finału z Augierowskiej „Gabryeli“: „*O père de famille! o poëte! je t'aime*“, i Elżbieta postanawia nadal próbować „szczęścia w zakątku“. Röcknitza już nie zobaczy. Wiedemann obiecuje osobiście rozprawić się z junkrem i z progów swego domu raz na zawsze usunąć pokusę.

Akordem pojednania kończy się utwór; z chmur groźnie spiętrzonych nie wypada piorun i z słońcem w duszy spieszy do domów publiczność. Przeciętny widz teatral-

ny nie lubi końcowych kataklizmów; dręcz go zgrzytem ponurym, denerwuj męką bohaterów, odsłoń rozdarcie bolesne, lecz w końcu zamknij przepaście, zanuć piosenkę nadziei, spłucz gorycz płynem miodowym i niechaj zasypia spokojnie w tem przekonaniu, że w życiu wszystko się goi i nie ma nocy bez słońca. Oto recepta konwencyonalizmu. Pogardzi nią Strindberg, Rovetta i Hauptmann, lecz modny Sudermann nie lekceważy gustów szerokiej publiczności, bo ona rozdziela laury i pieniądze. Więc Elżbieta łączy się z Wiedemannem, i po godzinie burzy zakwita znowu „szczęście w zakątku“. Tak mówi autor, tłum bezkrytyczny wierzy mu na słowo, lecz prawdy nie ma w tym końcowym blasku. Dla kobiety „z rodu olbrzymów“ zagasło słońce w domu potulnego aż do poniżenia rektora. Tę wielką i czystą naturę dotknąć muszą boleśniej pociechy męża i rezygnacya pokorna, niż brutalności Röcknitza. Dom stanie się dla niej ciemną i duszną celą więzienną, gdzie rumieniec wstydu palić ją będzie, gdy mąż-lilput zbliży się do niej. Kobieta przeciętna zbłądzi, przystosuje się potem do otoczenia i zegnie kolana przed wspaniałomyślnością małżonka, — lecz dusze tak wrażliwe, tak dumne i wyżyn życia spragnione, jak ona, nie zgodzą się na rolę żałującej grzesznicy, na wegetacyę orła w kurniku i cerowanie pończoch przy boku rozgrzeszającego męża z filistrów szczepu. Złamana miłość, duma zraniona i druty klatki domowej chwycą za gardło i dusić będą tak długo, aż zerwie wszystko i pójdzie w świat daleki lub na dno jeziora. Sudermann uzdrawia chore małżeństwo — lecz trudno w to uzdrowienie uwierzyć. Świetnie narysowana figura Elżbiety krzywi się przy końcu i kłamstwem konwencyonalnem jest finał utworu.

A przecież, mimo tej koncesyi psychologicznej na rzecz banalnego smaku tłumów szerokich, mimo pewnych nieprawidłowości w formie i układzie dramatu, zgodzić się nie mogę na zdanie tu i owdzie głoszone, że „Szczęście w zakątku“ zaliczyć należy do tuzinkowych kreacyi scenicznych. Słabsza od „Gniazda rodzinnego“, niższa od „Końca Sodomy“ posiada najświeższa sztuka Sudermanna pierwszorzędne zalety pod względem charakterystyki, nerwu dramatycznego i koloratury. Sudermann pozostał dawnym mistrzem w malowaniu tła i środowiska, rzucił na deski kilka scen wspaniałych, że tylko wspomnę chwilę przełomową, i powołał do życia postacie o zadziwiającej plastyce i subtelności. Röcknitzowi należy się bez wątpienia jedno z miejsc pierwszorzędnych w galeryi typów Sudermannowskich.

Na scenie poznańskiej, niestety, całe „Szczęście w zakątku“ w mgłę się owinęło. Nie przeczę, że pewne niejasności motywów działających złożyć należy na karb autora i niefortunnego tłomacza, lecz lwia część winy spada na artystów, a raczej na zupełny brak literackiego kierownictwa w teatrze naszym. Gra pana S k i r m u n t a była jak zwykle śmiała i wygładzona, lecz zamiast Röcknitza stąpał po scenie lowelas buńczuczny. Imponująca zwycięzkość Röcknitzowskiej natury zginęła zupełnie, — brutalnej, lecz podbijającej siły tego typu nie zrozumiał artysta. Dokładniej swoją rolę pojęła p. P a n k i e w i c z, lecz i ona wznieść się nie zdołała do wyżyn królewskości dominującej. Panna V e r n o n miała szczere intencye stworzyć typ małej żony wielkiego Röcknitza, — jej nicość jednak i uległość nie przekonały nikogo. W zakresie talentu tej artystki nie ma miejsca dla Bettiny Röcknitz. Z innych przedstawicieli Sudermannowskich postaci jedynie pp. Ł a s k i i W o s t r o w s k i względnie poprawnie odtworzyli role powierzone, choć nie zdołali nagiąć gry swojej do niemieckich typów. Pan K r ó l i k o w s k i w roli małostkowego pedanta-biurokraty zawiódł oczekiwania. Szkoda mi tej postaci. Ma ona dużo charakteru, a zginęła w bladym szablonie.

W. R.

TO I OWO.

Jeszcze o prelekcyach ks. Adamskiego.

Uwagi nasze o prelekcyach ks. Adamskiego zjednały nam wprawdzie uznanie inteligentnych kół społeczeństwa, lecz naraziły oczywiście na karabinowy grzechot Kuryerowej armii, wołającej na całe gardło, że jesteśmy masonami, wrogami religii itp.

Podajemy zatem poniżej ocenę tych odczytów, zamieszczonych w poznańskiej korespondencyi warszawskiego „Przeglądu tygodniowego“ i polecając czytelnikom naszym porównanie cudzej i naszej opinii, prosimy uprzejmie Kuryera, aby nie zrażony tą pomocniczą armią, którą na plac boju wprowadzamy, walił dalej z haubic i moździerzy. Zawsze to rozrywka w wielkopostnej ciszy.

Poznański korespondent warszawskiego „Przeglądu“ wypowiada następujące uwagi:

„Rozmyślania wielkopostne rozpoczęliśmy niezbyt fortunnie. Zaledwie ucichły ostatnie karnawałowe dźwięki, wezwano publiczność poznańską do pałacu Działyńskich na odczyt ks. Adamskiego p. t. „Kwestya kobiet“. Odczyt ten odbył się w samą środę popielcową a jeśli pobożne dusze poznańskie kruszyły się i korzyły pod wrażeniem słów: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz“, to dzięki ks. Adamskiemu ten nastrój poważny zniknął natychmiast, ustępując szczerym wybuchom śmiechu. Trudno dać wyobrażenie czytelnikom o rodzaju stylu i charakterze poglądów prelegenta. Było to coś tak oryginalnego — tak fenomalnego w końcu XIX wieku, że nawet w Poznaniu, w krainie obfitej w okazy umysłowych antyków, słuchacze spoglądali na siebie wielkiemi oczami, pytając, jaki archeolog odkopał ze zwalisk średniowiecznych ks. Adamskiego i jego myśli?

Gdyby odczyt taki wygłoszono niegdyś w XIV wieku np. w jakim bernardyńskim klasztorze, nie zrobiłby pewno wielkiego wrażenia, ale dziś!... Jak tu słuchać poważnie roztrząsania kwestyi, dlaczego Pan Bóg stworzył najpierw Adama, potem Ewę? — a cały odczyt był w tym samym rodzaju. Słyszeliśmy także, że ruch ciał niebieskich jest obrazem życia umysłowego, gdyż ciała niebieskie krążą po liniach kolistych (?) a ta zasada kolistości jest wszędzie w życiu zachowana. Mężczyzna jest punkten środkowem koła, kobieta jego obwodem, dlatego też i kształty kobiety są zaokrąglone. Kobieta ma w sobie pewną lekkość: „lekko“ znosi cierpienia, „lekko“ wznosi umysł, postać ma „lekką“ i „lekko“ stąpa po ziemi. Szanowny a uczony „prelegent“ zakończył mniej więcej ten sposób wywody, w których ani jedno słowo nie było rozumniejsze od powyżej przytoczonych: „Kiedyśmy na zasadzie najwyższej logiki wyjaśnili, czem jest istota kobiety, pytamy się, czy emancypacya jest możliwą? Naturalnie, że nie!“

Radził kobietom, żeby zawsze tak postępowały, jak Duch święty. Dobra rada, ale jak ją wykonywać? Może nam to jeszcze kiedy ksiądz Adamski wedle swej „najwyższej logiki“ wytłomaczy... Zapowiadano cały szereg odczytów w tym rodzaju, zdaje się jednak, że będziemy musieli poprzestać na tym jednym. Szkoda! Prelegent ma taki dar rozweselania słuchaczów a przecież „śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy, uspokaja słabe nerwy.“ Ks. Adamski jest członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk. Zbierał tam laury, jako autor wierszowanej apokalipsy a w ostatnich dniach wygłosił odczyt „O istocie piękna“, w którym posługiwał się tą samą najwyższą logiką, co w roztrząsaniu kwestyi kobiecej. Poważne zgromadzenie słuchało poważnie głębokich nonsensów....!!“

* * *

Zlot wszechsokolski w Krakowie.

Korespondent „Kuryera lwowskiego“ donosi: W d. 28. 29. i 30. czerwcza br. odbędzie się w Krakowie III. zlot polskiego Sokolstwa. Wezmą w nim udział druhowie wszystkich gniazd sokolich, które należą do związku. Tych zaś gniazd, które dotąd nie uważały za wskazane do związku przystąpić, na zlot zapraszać się nie będzie. Jako goście wezmą udział w zlocie Sokolim gniazda pobratymczych narodów słowiańskich a w pierwszym rzędzie zaproszeni zostaną Czesi. Sokół z zaboru pruskiego weźmie udział w zlocie, jako Sokół czynny. Z tego powodu spodziewany liczny zjazd.

Wydział sokoła krakowskiego przy pomocy zaproszonych druhów sokolich z poza wydziału podzielony na mnóstwo sekcyi i komisyi pracuje nad całą organizacyą zlotu. Praca to nadzwyczaj wielka i zmudna. Zlot bowiem III. musi prześcignąć pierwszy we Lwowie odbyty i okazałością i dziarską postawą i liczbą ćwiczących, karnością i szykiem właściwym. Sokolstwo ma złożyć egzamin ze swego rozwoju i wzrostu nietylko przed sobą i rodakami z innych zaborów, ale także przed cudzoziemcami, których wiele do Krakowa się wybiera. Koszta zlotu obliczono na 20 kilka tysięcy złr. Osobny komitet obywatelski zajmuje się sfinansowaniem przedsiębiorstwa. Dotąd złożono z górą 8000 zł. jako fundusz gwarancyjny. Boisko zlotowe urządzone będzie w prześlicznem miejscu, mianowicie na błoniach, za rogatką wolską, naprzeciw parku Jordana. Samo boisko dla ćwiczących obejmie przestrzeń 4000 metrów kwadratowych; otoczone będzie w około trybunami na 8000 miejsc, a nadto między boiskiem a trybunami około pozostawioną będzie przestrzeń 5000 m. kwadr., na której ewentualnie 20,000 ludzi stojąc, pomieścić się będzie mogło. Szatnie dla ćwiczących, umieszczone będą pod trybuną główną. W tych dniach rozpisaną zostanie licytacya na budowę boiska i trybun, a w miesiącu kwietniu rozpoczną się roboty. Boisko będzie odmienne od dawniejszych lwowskich, całe bowiem będzie pokryte niziutką, strzyżoną trawą. Tłem tej olbrzymiej budowli sokolej będzie kopiec Kościuszki, Bielany i Krzemionki.

O d d z i a ł k o n n y Sokoła krakowskiego zakupuje nieustannie konie i odbywa ćwiczenia, pragnie bowiem postawić na Zlocie oddział porządnie zorganizowany, z kilkudziesięciu jeźdźców złożony. Koszta tego oddziału wyniosą kilka tysięcy zł. Swietnie również zaprezentuje się wioślarstwo nasze. Trzeciego bowiem dnia Zlotu urządzone będą wyścigi na Wiśle i tradycyjne wianki. Dopuszczony tutaj będzie udział także polskich wioślarzy innych krajów. Nagrodami będą medale srebrne i bronzowe. Koszta tego oddziału również wyniosą kilka tysięcy złr.

* * *

Z krainy oleandrów.

Razu pewnego książę Tezeusz przechadzając się z Hipolitą, królową amazonek, wśród rozkosznych gajów Aten, spostrzegł na brzegu strumyka, u stóp kwitnącego oleandru, młodziutkiego Fauna, jak kiścią wonnego kwiatu łechtał różowy nosek śpiącej na mchu nimfy.

— Co to znaczy? — zapytał.

— Prawdopodobnie — odpowiedziała

królowa — pragnie Faun nimfie czemprędzej obudzonej prawić o miłości.

Nimfa spała jednak dalej snem kamiennym.

Tylko czasami, pod wpływem wonnej pieszczoty-pustoty, drżały różowe wiązadełka jej uroczego noska.

Faun wpadł na inny pomysł: dłonie jak koszyczek napełnił kwiatami, i wszystkie te kwiaty, hen, hen, z wysoka, rzucił na białe piersi Hamadryady.

Powoli, ramieniem drżącem jeszcze od sennego omdlenia, odsunęła nimfa lekki ciężar... nie zbudziła się jednak.

Wtedy Faun zaczął biegać w koło niej, skakać, tupać, poruszać gwałtownie gałęźmi drzew i łamać je: był szelest, rumor, hałas jak gdyby młode wilki wyprawiały w pobliżu swoje harce. Ale nimfa spała ciągle...

Nie wiedząc już, jak sobie poradzić, klaskał Faun z kolei w dłonie, śpiewał, krzyczał, naśladował głosy dzikich zwierząt, zawodził jak delikatne ptaki, gdy kłócą się, lub żalą, ryczał, jak podrażniony lew, wołał „cukru“, jak gołębie.

Nimfa ciągle mimo to spała, jak lilia zasypana śniegiem.

Zrozpaczony, płakać zaczął. Tezeusz ulitował się nad dziecinnym półbożkiem, wyciągnął swój błyszczący miecz, co nieraz brzęk wydobywał z rynsztunku wroga, i rzucił go z taką siłą na odłam w pobliżu leżącej skały że ziemia zadrżała.

Nie zadrżały jednak powieki Hamadryady.

— Bo też wy nie umiecie brać się do dzieła! — rzekła królowa amazonek.

Zbliżyła się do Tezeusza... i do jego ust przycisnęła swoje w długim, gorącym pocałunku.

Nimfa w okamgnieniu otwarła oczy, uśmiechając się rozkosznie.

Catulle Mendès.

Na Wyłomie.

(Wiosna. — Rymotwórcy. — Modlitwa wiosenna).

Wiosna! pachnie, śpiewa i zielenią dyszy. Jakaś wróżka dobrotliwa złożyła pocałunek na czole natury i oto! ziemia uśmiechnęła się słońcem, rozkwitła milionami pączków i senna jeszcze po zimowej drzemce tuli się do nas i pieści. Cud czy mamidło? Dni dziesięć wstecz cofam się pamięcią, — wszystko zastygłe i mroźne, nagość kamienna i śmierć. Spoglądam na kalendarz ścienny.... jeszcze nie skończył się marzec, a już na gody stroi się ziemia, na wielkie gody wiosenne. I dusza wzbiera, i krzyczeć się chce i płakać.

O! piękną jesteś ty młoda przyrodo, ty zmartwychstająca! I byłabyś tysiąc razy piękniejszą i zawracałabyś głowy do szczętu tym, których Bóg w gniewie swoim stworzył, t. j. redaktorom, — gdyby.... gdyby wraz z tobą nie zjawiały się w biurach naszych roje wieszczów i wieszczek, prawdziwy potop śpiewaków i śpiewaczek wiosny. — Z pierwszym listkiem zielonym na krzakach agrestu, z pierwszem futrem oddanem na przechowanie kuśnierzom, z pierwszym jasnym tużurkiem dobytym z głębiny szaf, szuflad lub koszów, przylatuje całe stado tych adeptów Parnasu, siada na dachach i piszczy, ćwierczy, terkocze o wiośnie. Jeszcze daleko skowrończane śpiewy, więc gdy tęsknicie za wiosenną pieśnią, posłuchajcie, proszę, tej pierwszej kapeli:

Jeszcze bzów nie ma, ale już je czuję,
Nie ma fijołków, ale wkrótce będą,
Więc w imię wiosny usta twe całuję
Tam, gdzie już liście swe bukiety przędą.

I szelma chłopak całuje „dziewicę“ na „rumiane lice“, a ona spuszcza oczęta i mówi:

Niech Bóg wybaczy nam grzeszne pieszczoty,
Niech Go przebłaga dzisiaj głos żałosny,
Bo to ci mówię o! skarbie mój złoty:
Nie nasza wina, ale wina wiosny!

No! proszę, — i wykręciła się sprytna panienka. Co do mnie, wybaczam chętnie te „grzeszne pieszczoty“, ale ta liryka... te wiersze... poeto mój! całuj sobie, całuj tysiąc razy więcej, — jeżeli jednak masz odrobinę litości nad biednym redaktorem, pisz prozą sentymenty swoje.

Czy posłucha mej rady? Wątpię. Ta rzesza trznadli i gilów wiosennych posiada upór kamienny, wędruje od redakcyi do redakcyi z pliką manuskryptów pod pachą, pisze i pisze bez końca, a, co najciekawsze, znajduje w prasie poznańskiej, mianowicie w oficynach drobniejszych pisemek, wrota na roścież otwarte. Nic dziwnego! Na czele naszych organów i organków stoją nieraz ludzie, dla których poezya a rym to identyczne pojęcia, więc byleby „kości“ zgadzało się z „miłości“ i „kochała“ z „orała“, każdy Rozbicki pewien być może, że nie tu to tam wiersz swój ulokuje. Ot, leży przedemną rękopis, zatytułowany elegijnie: „Wiosenne bóle“, którego autor donosi mi, że „był już drukowany kilkakrotnie“ w dzienniczku X., lecz pragnąc w poważniejszym organie literackim zapisać nazwisko swoje, prosi obecnie o gościnność w „Przeglądzie“ dla „Wiosennych bólów“. Posłuchajcie zatem tego „kilkakrotnie drukowanego autora“:

Czemu ty świecisz słońce nad nami?
Czemu tu kwitną bzy?
Ja błądzę smutny z mojemi łzami
I zemną moje łzy.

Ludzie okrutni, ojczyzna w grobie,
A luba jako głaz,
Umieraj wiosno, bo ja w żałobie
Idę w ponury las.

Niech wyją wiatry, niech szumią drzewa,
I zęby szczerzy smok,
Umrę, a luba moja zaśpiewa
Na zgon mój i na mrok.

Dosyć tych serc rozdartych i pień Marsyaszowych! Otwieram okno, tysiące gwiazd na firmamencie, zapachy wiosny falą płyną ku mnie, a taka cisza w uśpionych ulicach, że aż w uszach dzwoni. Wydaje mi się, że długie linie i płaszczyzny domów w mrok otulonych zlewają się w jakąś wielką, ciemną, bezkształtną masę i są w tej nocy wiosennej jak skamieniały olbrzym, broniący przystępu tej wróżce pięknej, która idzie ku nam w błękitach niezapominajek, z wonią bzów i śpiewem słowików. O pójdź, pójdź, i niechaj zegnie przed tobą kolana ten kolos zamarły, szepcąc u stóp twych: „Kocham cię wiosno i z tobą śluby wieczyste zawieram.“ O zbliż się, piękna, z melodyą życia, poezyi, swobody i niechaj do wtóru grają ci dusze ludzkie. Szarość jesienna i mgła wilgotna bytu naszego skurczyła serca, zamroczyła myśli i tak stoimy u wrót przyszłości, bez górnych wzlotow, bez wielkich porywów, — mała, bezsilna krasnoludków gromada.

Wiosno! symbolu postępu, odrodzenia, wolności! Niechaj królestwo twoje wypłoszy mroki i zimę z tego zakątka ziemi, gdzie każda myśl swobodna, pozbawiona stempla patentowanych zasad, ginie pod klątwy obuchem, gdzie wielkie bóstwa sztuki i nauki strącono z ołtarzy i „miarą krawca nie miarą Fidjasza“ przykrojono młodzież. Na chleb zarabiać ona dziś dzielniej umie niż wczoraj, lecz kochać gorąco, czcić piękno, rwać się ku niebu po jasność słoneczną, — tych świętych ogni maleńki płomyk tli się tam zaledwie. Niech starzy będą starymi, — ty, wiosno! młodym wróć młodość!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

M a s a r y k o n a s z e j l i t e r a t u r z e. Profesor Masaryk uchodzi wśród swych ziomków za powagę w kwestyach historyi czeskiej literatury i sztuki. Że sąd jego posiada wartość rzeczywistą, że to uznanie, jakie sobie wśród swego społeczeństwa zdobył jest słusznem, dowodzi tego poniekąd i to, co niedawno w swym „Czasie“ napisał o naszej literaturze, względnie Gomulickim, Sewerze i Chmielowskim. O Gomulickim i o jego „Nowych pieśniach“ pisze: „Gomulicki jest największym optymistą pomiędzy poetami współczesnymi; dusza jego otwiera się ochoczo wszystkiemu, co jest jasne, miłe, żywe, spokojne i piękne. Jeżeli się spotka ze stroną ciemną życia ludzkiego i jego problematami, (jak się nie spotkać z niemi?) wówczas porusza je powierzchownie, lub jak najprędzej od nich ucieka. Na początku dzieła nazywa swą poezyę anielską. Śpiewa pieśni wiary w ducha ludzkiego, który nie zna wschodu ani zachodu, był, jest i będzie zawsze: w iście sposób romantyczny przenosi uczucie ponad rozum, poezyę nad wiedzę, ciągnie do boju ze złem z bronią pióra, skalpelu i krzyża, śpiewa o wiośnie i miłości. Tytuł jednej części poezyi „Przy słońcu“ jest odpowiednim dla całej jego twórczości słonecznej i optymistycznej. W części „Obrazy i szkice“, interesującej życiem ulicznem warszawskiem, kreśli także obrazki ze wspomnień swej młodości, którą spędził w małem mieście. Dwa ostatnie rozdziały dotyczą ciemniejszych stron bytu, ale zwycięża w nich optymizm: refleksye jego nie są głębokie, nie bardzo oryginalne, w smutku widać więcej maniery, aniżeli szczerości. Gomulicki włada wierszem po mistrzowsku, w tem mało kto mu wyrówna. W książce odzywają się też reminiscencye z Mickiewicza i Słowackiego. Najlepszemi utworami są: „Dziwożona“ i „Nocą na morzu.“

O S e w e r z e pisze: ma sposób charakterystyki plastyczny, bystry zmysł spostrzegawczy i myśli głębsze. Z Piotrem C h m i e l o w s k i m zgadza się, iż obecna poezya polska okazuje wszędzie niedostatek prawdziwej oryginalności, jest w niej gonitwa za skończonością formy, ale mało kompozycyi wielkiej i orlich wzlotów.

F r e d r y „Slubów panieńskich“ Masaryk, zdaje się, wcale a wcale nie zrozumiał. Oceniając je surowo, zapomniał, kiedy Fredro żył, nie odczuł subtelności, oryginalności i tendencyi autora w satyrze i karykaturalności figur polskich, w czem Fredro celuje i na czem cały urok jego utworów polega. Tego mu jednak nie można brać za złe; tylko Polak dostrzeże w utworach Fredry pierwiastek swojski. Czech widzi jedynie stronę zewnętrzną: naśladownictwo i formę naiwną.

Monitor.

* * *

„S y r o k o m l a o s o b i e“. Przepisał i objaśnił Wł. R. Korotyński, Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i Spki 1896. — 8⁰ str. 101.

(*w. i.*) Niepodobna oprzeć się wzruszeniu, przeglądając korespondencyę nieszczęśliwego, a tak sympatycznego poety, który jak „słowik w klatce“ męczył się przez całe życie. W książce Korotynskiego, opatrzonej bardzo dobrze informującym i barwnie napisanym wstępem, znajdujemy listy Syrokomli przeważnie do Chęcińskiego pisane. Można na ich podstawie nabrać dokładnego wyobrażenia o procesie psychicznym, jaki pod wpły-

wem nieszczęść, kłopotow i nadmiernej pracy rozwijał się w duszy Syrokomli — można go śledzić aż do chwili, kiedy miejsce energii zajęła apatya, wywołana upadkiem fizycznym także — i kiedy nastał smutny nad wyraz, ale z rezygnacyą przez poetę powitany „początek końca“, zupełnie innego, niźli Syrokomla zasłużył.

* * *

Verlaine'a indywidualność poetyczną najlepiej może odzwierciadla następująca perełka nowszej liryki francuzkiej:

Les sanglots longs
Des violons
De l'atomne
Blessent mon ceur
D'une longueur
Monotonne.
. . . .
Et je m'en vais
Au vent mauvais
Qui m'emporte
Deça, delà
Pareil à la
Feuille morte.

Może czytelnicy i czytelniczki nasze zechcą spróbować swoich zdolności poetycznych i spolszczyć ten wierszyk. Najlepsze tłomaczenie pomieścimy w „Przeglądzie“.

* * *

Anglicy o nas. Z powodu wzmianki „Kuryera Warszawskiego“, że jedno z pism angielskich powierzyło Anat. Krzyżanowskiemu sprawozdanie o literaturze naszej, ogłasza w tem piśmie Adam Niemirowski notatkę informacyjną, którą tu powtarzamy; „Literatura polska zbyt jest poważną i zasłużoną, aby Anglicy po czasy obecne nic o niej nie wiedzieli. Już w r. 1824 Blum wydał antologię poezyi naszej, a Michał Wiszniewski oraz Lach Szyrma w pismach szkockich zapoznawali Albion z tutejszą umysłowością. — Swietny artykuł Klaczki („Poezya polska XIX wieku“), przełożony przez p. Walker, znany jest od lat 30. Paweł Sobolewski wydał chrestomatję naszego piśmiennictwa bieżącej doby. Czasopismo „Academy“ umieściło mojego pióra sprawozdanie z ruchu naukowego. Artykuł ten referowany był po angielsku, jak świadczy odsyłacz od redakcyi. Kilka dni później „Słowo“ streściło ten referat, a wzmiankę pisał (czem się szczycę) Sienkiewicz. Wślad za tem „Academy“ pomieściło rzecz o pracach i życiu Maciejowskiego, biografię pani Bauman, warszawianki, oraz inne moje korespondencye.“

ODEZWA.

Od Związku „Sokołów“ polskich w państwie niemieckiem otrzymujemy pismo następujące:

Druhowie! W dniu 14, 15 i 16 sierpnia rb. odbędzie się pierwszy zlot wszechsokolski w Poznaniu. Idea, zaszczepiona przed niedawnym czasem w pruskim zaborze, coraz silniejsze korzenie zapuszcza w ziemi kresowej. I dalej pójdzie, niosąc społeczeństwu zdrowie fizyczne i siłę, potęgując karność i energię, szerząc zasady równości i braterstwa. Nie jesteśmy optymistami, nie zapoznajemy bynajmniej, ile trudności jeszcze zwalczyć trzeba, ile wysiłków i pracy niezmordowanej nas czeka, zanim dumne słowo z ust naszych popłynie: Jest duch sokolski w dzielnicach kresowych! — wierzymy jednak niezłomnie w żywotność naszej idei, a tą wiarą silni pragniemy wytężyć wszystkie siły, aby przyspieszyć rozwój sokolstwa w zaborze pruskim. I oto zlot wszechsokolski w Poznaniu ma być nowym i potężnym rozsadnikiem ideałów naszych, generalnym przeglądem dotychczasowych zdobyczy, analizą słabości i niedostatków, podstawą reform żywotnych i gromką, ducha krzepiącą pobudką do wytrwałej pracy sokolskiej,

Zwracamy się zatem przedewszystkiem do was, Sokoły z zaboru pruskiego, i do was, gniazda związkowe, rozrzucone na obczyźnie w państwie niemieckiem. Obowiązkiem waszym stawić się jak jeden mąż w dniu zlotu wszechsokolskiego w grodzie Przemysława, obowiązkiem waszym poważne zastępy ćwiczących wprowadzić na boisko, obowiązkiem waszym pomyśleć już dzisiaj o przygotowaniach do igrzysk zlotowych. Dom nasz otwarty, w sercach miłość bratnia — czekamy na was Druhowie.

Z równą prośbą serdeczną i pobudką sokolską zwracamy się do druhów zaboru austryackiego. Wy to jesteście mistrzami naszymi, wy pierwszymi krzewicielami idei sokolskiej na ojczystej ziemi. Więc przybywajcie i niechaj obecność wasza w murach Poznania będzie wyrazem sokolskiego braterstwa, niechaj młode gniazda zaboru pruskiego uczą się od starszych druhów, jak rozwijać i hartować wspólne ideały. Kresowe Sokoły wzywają do łącznej pracy i zabawy i wierzą, że żadna z drużyn blizkich i dalekich obojętną nie będzie na głos tej pobudki.

O bliższych szczegółach zlotu, o programie, kwaterunku i t. p. informować będziemy szanownych Druhów w miarę rozwoju prac komisyi zlotowej.

Czołem!

Wydział Związku „Sokołów“ polskich w państwie niemieckiem,

Bernard Chrzanowski, przewodniczący, Walery Łebiński, sekretarz.
Dr. W. Rabski, J. Nowicki. zastępcy przewodn.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. Z afrykańskiego placu boju nadchodzą pokojowe wieści. Negus pragnie zgody najwidoczniej i skromne tylko stawia warunki. — Organ socyalistów „Vorwärts“ przypomina uchwałę ostatniego zjazdu socyalistów, wedle której w dniu 1 maja tylko ci robotnicy mają świętować, którzy to uczynić mogą bez żadnego dla siebie uszczerbku. — Austryacki minister oświecenia, dr. Gautsch, wydał rozporządzenie w sprawie dopuszczania kobiet do egzaminów dojrzałości pod warunkiem ukończenia lat 18 i przedłożenia świadectwa z ukończenia gimnazyum prywatnego, lub też, jeżeli kandydatka odbyła odpowiednie studya przygotowawcze. — Zatarg między Hiszpanią a Stanami Zjednoczonemi stracił na sile i według wszelkiego prawdopodobieństwa skończy sie niebawem zupełnie w drodze pokojowej.

Teatr i muzyka. Czwartkowy benefis pani Jakubowskiej zgromadził, niestety, w teatrze nader nieliczną publiczność. Gra beneficyantki odtwarzającej tytułową rolę „Córy piekła“ świadczyła o inteligentnem opracowaniu szczegółów i odznaczała się wielką szczerością i wdziękiem. Publiczność sympatycznej artystce ofiarowała wieńce i kwiaty. Na chlubne wyszczególnienie zasługuje również gra pp. Knapczyńskiego i Jakubowskiego. — Panna Pankiewicz wyjeżdża po ukończeniu sezonu na gościnne występy do Łodzi. — W Berlinie zjednał sobie wielkie powodzenie naturalistyczny utwór Maksa Dregera p. t. „Winterschlaf“. — W Rzymie wystawiono nową operę Leoncavalla p. t. „Chatterton“. Publiczność autorowi zgotowała wielkie owacye. — W roli Balladyny wystąpiła na scenie krakowskiej z powodzeniem p. Paszkowska, była heroina sceny poznańskiej. „Czas“ i „Nowa Reforma“ wyrażają się z uznaniem o talencie młodej artystki. — O nowej dyrekcyi teatru lwowskiego tak pisze korespondent „Przeglądu Tygodniowego“: „Pan dr. Bandrowski pragnie wznowić operetkę, która będzie miała w połowie charakter opery komicznej, oprzeć sezon operowy o Lwów i Kraków, tak, aby cały sezon wynosił pół roku (po 3 miesiące na każde z tych miast) a czas od 1 września do 1 lutego poświęcić wyłącznie dramatowi i komedyi. W programie leży dalej: reorganizacya chórów, przeprowadzona tak, iż byłyby ustanowione dwa kursy: wstępny (szkoła statystów) oraz właściwy, mający swego korepetytora. Projektowane jest również sprowadzanie do Lwowa całego dramatycznego personelu krakowskiego (w porozumieniu oczywiście z dyr. Pawlikowskim) i na odwrót, oraz rozszerzenie działalności teatru lwowskiego i to zarówno dramatu, jak opery i operetki na miasta prowincyonalne (Przemyśl, Stanisławów, itd.) Prof. Zawiejski ma w ciągu czterech tygodni odnowić zupełnie salę teatralną i zaprowadzić wzorowy system ogrzewania. Loże III piętra będą zupełnie zniesione a zastąpi je duży balkon. Starych dekoracyi teatru lwowskiego p. B. nie kupi wcale, natomiast nabędzie nowe w Wiedniu pod bardzo korzystnemi warunkami. Co do personelu, to, o ile wiemy, ustąpić mają pp. Woleński i Trapszo, reżyseryę zaś powierzy nowy dyrektor panom Żelazowskiemu i Kotarbińskiemu. Tyle na dziś o nowej dyrekcyi. Żegnając dotychczasową, winniśmy w imię sprawiedliwości wyrazić pełne uznanie p. Zygmuntowi Przybylskiemu, który szczerą pracą i pełnem artystycznego wyrobienia kierownictwem, często uczynił więcej nad to, co mu środki i opłakane lokalne stosunki pozwalały.

AFORYZMY.

Kobieta odpowiada najchętniej na pytania, których jej nikt nie zadaje.

—

Genjusz powinien słuchać, co mówi tłum, aby postępować wprost przeciwnie.

—

Ubogi wielbiciel — to dla kobiety zalotnej mała nieprzyjemność; piękna rywalka — to wielkie nieszczęście.

—

Zachwyt i heroizm — rodzeni to bracia,
Goethe.

—

Prawda i kobieta spotykają się tylko w godzinę śmierci.
Eks.

—

Co to jest szczęście? Częstokroć to, co zbywa jednemu człowiekowi, wystarczyłoby dla uszczęśliwienia całej ludności ulicy, na której tenże mieszka.
Carr.

—

W dniu, kiedy dyplomaci poczną mówić prawdę, — oszukają wszystkich.
Talleyrand.

—

Smutnym być — znaczy prawie zawsze myśleć o sobie.
Heine.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Posterunek. Obie odpowiedzi „Kuryera Pozn.“ na uwagi Sulli noszą tak wybitne piętno umysłowej bezsiły i brutalnego beztaktu, że z naszej strony ani jednego słowa krytyki dodawać nie potrzebujemy. Są artykuły, które same sobie piszą wyrok śmierci. Wonią swoją zapowietrzają powietrze i publiczność odwraca się od nich z odrazą.

Autorowi „Listu z Poznania“. Siedemnaście kwestyi społecznych i estetycznych, poruszonych przez Szan. Pana na czterech ćwiartkach papieru, stanowią chaos tak mętny, że artykułu w „Przeglądzie“ zamieścić nie możemy.

Ciekawy. Pytanie Pańskie jest istotnie interesujące, więc powtarzamy je na tem miejscu w nadziei, że może który z czytelników naszych znajdzie stosowną odpowiedź. Pytanie to brzmi: „Dr. Peters rozwinął zapaloną agitacyę za marynarką pruską dla odwrócenia uwagi społeczeństwa od swoich kompromitujących sprawek afrykańskich. Ciekawy jestem, jakie motywy kierowały „Kuryerem poznańskim“, gdy wraz z dr. Petersem jął reklamować marynarkę?“

E...a. Dziękujemy serdecznie za cacko to filigranowe. Zamieszczamy je w dzisiejszym numerze.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych Czytelników prosimy o odstąpienie nam (za stosownem wynagrodzeniem) następnych numerów pisma naszego: nr. **2** rocznik 1896, nr. **32, 37, 40 i 48** rocznik 1895.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28